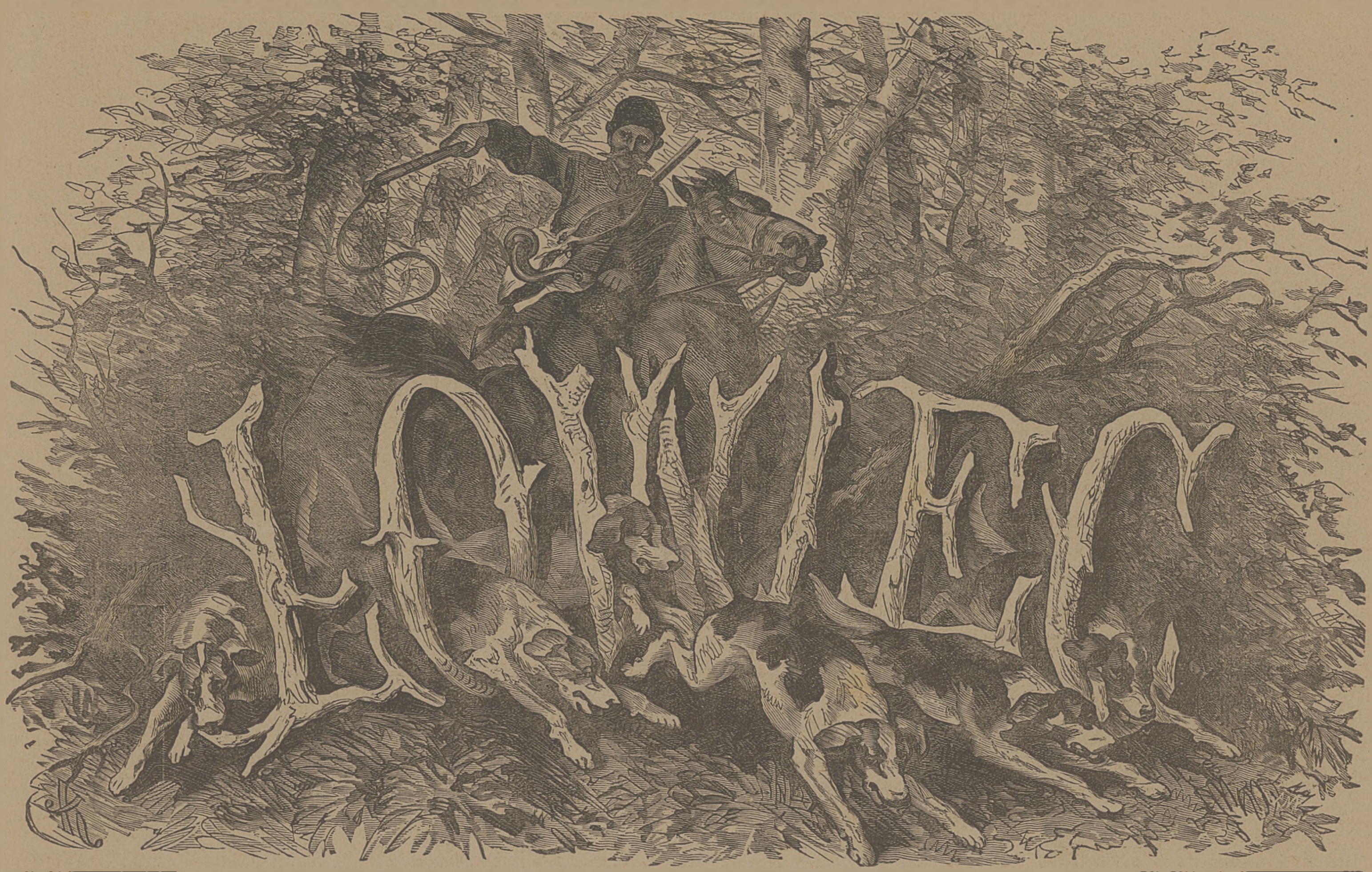
Nr. 6. Lwów, dnia 1. Czerwca 1891. Rok XIV.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

ŁOWIEC POLSKI W INDYACH.

(Ciąg dalszy).

Od 11. do 21. marca trwała wycieczka, którą urządzono z całym taborem bryk, namiotów i służby, na południe od Goony, w okolice pagórkowate o fantastycznie piętrzących się skalistych szczytach.

Dnia 12. marca przepędzono pierwszą noc pod namiotami.

„Do dnia — opowiada nasz podróżny — wyjechałem konno z Mahmud Khanem na podjazd, by spróbować, czy się nie uda gdzie strzelić gazellę lub Nilgaja. Ciemno jeszcze było gdyśmy wyruszyli, od wschodu tylko jasna smuga różowego światła wskazywała, że się niebawem rozwidni. Nie ujechaliśmy i kilkuset kroków, gdy zdało mi się, że na nagiej skale o kilkadziesiąt kroków przed sobą widzę niby czarną masę o wyraźnych konturach jakiegoś zwierzęcia. Zwróciłem się do Mahmuda, który widocznie w tejże chwili był to samo spostrzegł. „Riczi, Sahib, Riczi!“ (Niedźwiedź, panie, niedźwiedź!) — szepnął mi zcicha. Piorunem zeskoczyłem z konia, na nieszczęście sztuciec był jeszcze nienabity, gdyż nie spodziewałem się go zapotrzebować pod samym obozem. W chwili, gdy nabijałem strzelbę, niedźwiedź widocznie nas spostrzegł lub zwietrzył i zeskoczywszy na drugą stronę skały, zniknął nam z oczu. Rzuciliśmy się w tę stronę, lecz nigdzie nie mogliśmy go dopatrzeć; musiał się ukryć w jaskini, których w labiryncie skał i głazów było podostatkiem. Żal go było zostawić nie spróbowawszy nawet dostać. Mahmud galopem ruszył do obozu po fajerwerki, umyślnie w celu wykurzenia zwierza z jaskiń przyrządzone, a których spory zapas mieliśmy ze sobą w obozie. Powrócił z kilkoma ludźmi i fajerwerkami. Zepsuliśmy kilkadziesiąt sztuk tych ostatnich, w kilku jaskiniach je podkładając, pomimo to jednak niedźwiedź się nie pokazał. Jedyny to raz widziałem w Indyach niedźwiedzia. Później kilkakrotnie zdarzało się nam słyszeć od ludzi, że w tej lub owej jaskini, napewno się znajdować musi; próbowaliśmy w rozmaity sposób, lecz nigdy nie udało się nam zobaczyć. Niedźwiedzi tu widocznie dosyć, codziennie niemal ślady ich widzimy. Indyjski niedźwiedź (Ursus labiatus) różny od naszego, znacznie mniejszy, włos ma czarniejszy i dłuższy, łeb również dłuższy, pysk spiczasty rudego koloru. Żyje w jaskiniach i nocą tylko za żerem wychodzi, dlatego go dostać niełatwo.

Tymczasem parę godzin zeszło, trzeba było wracać do obozu. Obóz nasz rozłożony w zielonym gaju olbrzymich tamarindów; namioty ustawione w półkole po jednym dla każdego z nas, piąty służy za jadalnią. W głębi stoją bryki, konie, obozują ludzie, ruch i gwar od rana. Do pięciudziesięciu ludzi mamy ze sobą — formalna karawana!

Ogromna ilość sług jest jedną z charakterystycznych cech domowego życia w Indyach. Do każdego rodzaju pracy

około domu, lub nawet osobistej usługi, osobni są ludzie, z których każdy tylko te czynności wypełnia, które ściśle jego rodzaju pracy się tyczą. Ten, który buty czyści, za nic wody nie przyniesie i odwrotnie. W angielskich stajniach liczy się do każdego konia po jednym człowieku, a nawet nieraz i po dwóch, jeżeli koń cenniejszy. Nigdzie podział pracy, w ścisłem tego słowa znaczeniu, nie jest tak skrupulatnie przeprowadzony jak w Indyach. Głównej tego przyczyny w bramińskiej religii i w podziale na kasty całego narodu szukać należy. W ogóle podaż pracy jest ogromną, wynagrodzenie śmiesznie małe, ztąd też w domu Anglika o średnich środkach materyalnych, widzi się nieraz 30—40 sług w domu zajętych.

Lecz wróćmy do naszego obozu...

Mieszkańcy pobliskiej osady o dzikich twarzach, bez ubrania, prócz fartuszka na biodrach, przynieśli rozmaite wiktuały dla nas, ryż, kurczęta i t. p., i gapią się na „Sahibów“, pokornie pokłony bijąc, gdy się biały ku nim zbliży. Jeden z nich najwięcej nas zajmuje: przyszedł z wiadomością, że tejże nocy pantera, zakradłszy się do jego zagrody, w środku wioski o pół mili od obozu położonej, wzięła młodego wołu (nie przynętę, lecz prosto z zagrody) i zaciągnęła do pobliskiej kniei. Skoro się ludzie zebrali, ruszamy spiesznie w to miejsce. Obóz tymczasem mają zwinąć, i o ośm mil dalej, do miejscowości zwanej Ragogar, posunąć. W wiosce oglądamy miejsce zbrodni, popełnionej rzeczywiście z niesłychaną zuchwałością. W otoczeniu kilkunastu chat, pod nosem śpiących ludzi, zadusiła pantera sporego wolika, wydarła go przez wysoki parkan i zawlekła pod pagórek w gąszcz o kilkaset kroków odległy; widzimy krwawy ślad, którędy biedną ofiarę ciągnęła.

Co za niesłychaną siłę w szczękach zwierz ten mieć musi, by taki ciężar jak wół, naprzód przez parkan przerzucić, a potem spory kawał pod górę wlec! Sępy, gęsto na drzewach rozsiadłe, wskazują miejsce, gdzie leży pożarta ofiara. Bierzemy miot, z bijącem sercem wypatruję pantery, niestety! jeden zawód więcej powiększa spory już ich szereg. Znowu się gdzieś bestya wymknęła i przepadła bez śladu. Jak w każdem polowaniu na grubego zwierza, tak i tu, wiele, bardzo wiele od szczęścia zależy. Na ogromnym obszarze jednostajnej dżungli, gdzie skała koło skały się piętrzy, gąszcz gąszczu dotyka, nadzwyczaj jest trudno oznaczyć, dokąd zwierz się schronił i gdzie zaległ; wybór kniei polega na domyśle i instynkcie miejscowych ludzi, opartym wprawdzie na znajomości dżungli i zwyczajów zwierza, lecz jakże często zawodnym!

Odwrotna strona tego polowania na pantery leży, jak już wspomniałem, w konieczności puszczania bez strzału reszty zwierza. Dziś mogłem zabić kilka dzików i gazelli, oczekując jednak pantery, nie śmiałem strzelić, boby naturalnie ludzie skwapliwie pochwycili tę okazyą i powiedzieli, że ja panterę zestraszyłem.

Ptaków tu jeszcze więcej niż w okolicach Goony; między innemi widzę po raz pierwszy gatunek jarząbka brunatnego koloru z zielonawym piór odblaskiem (*Galloperdix spadiceus*). Ptak ten w skałach siedzi, a gdy go zestraszyć, piechotą ucieka; nigdy nie widziałem, by się zerwał. Anglicy nazywają go spur-fowl, od pazurka u łapki w formie ostrogi (spur — ostroga). W niektórych kniejach, szczególnie w pobliżu wody, pawi tak dużo, że się zrywają całemi, tak zwanemi bukietami, jak bażanty w parkach. Mnóstwo też kuropatw, frankolinów i czarnych przepiórek. Wszystko to owoc zakazany: „strzelać nie można, bo pantera ruszy“ — mówi Mahmud Khan.

W ostatnim miocie zabawne miałem stanowisko; obława zajęła stok pagórka mimozami zarosłego; gdy naganka dochodziła, zaczęły się z góry sypać jak z worka, dzikie małpy, jedna po drugiej, małe i duże, rozmaitego wzrostu, stare samce z brodami, samice niosące małpki na grzbiecie — pocieszny widok! Ze trzydzieści ich koło mnie przedefilowało. Tak są duże, że gdy się na łapy wzniosą, wzrostu średniego człowieka dochodzą; nie strzela się ich tu, również jak pawi, i z tego samego powodu, Hindusi je bowiem za święte uważają“.

Dnia 13. marca posunięto się o kilkanaście mil dalej w głąb dżungli.

„Dżungla coraz gęstsza — opowiada nasz autor — okolica więcej górzysta i dzika. Z biedą przedzieram się za mym nagim przewodnikiem, który jak małpa ze skały na skałę skacząc, lub jak wąż w wysokiej trawie się wijąc, drogę mi wskazuje. Krajowcy tu widocznie myśliwi, niemal każdy z nich nosi strzelbę, jeżeli tym mianem można nazwać ich broń, wobec której, powiązana sznurkami pojedynka naszego Poleszuka, pierwszorzędną lankastrówką się wydaje. Poprostu jest to długa lufa do kawałka zakrzywionego drewna przywiązana, bez zamków ni kurków. Chcąc wypalić, trzeba proch przez dziurkę w lufie wydrążoną loncikiem zapalić, a jednak od tej broni, z rąk krajowych myśliwych, padają setki zwierza, szczególnie jeleni i nilgajów, które dla mięsa i skóry, masami strzelają. Ludzie tu dziksi niż w okolicach Goony, białego boją się jak dyabła; mieszkają małemi osadami w środku dżungli w nędznych lepiankach, nieraz w ziemnych kryjówkach i jak mnie zapewniali, w braku lepszego pokarmu ścierwem nie gardzą.

Na helawie, w wysokiej trawie, udało mi się stadko gazelli zjechać; ledwo je z trawy widać było. Wybrawszy ładnego koziołka, strzeliłem go z ekspresa; po strzale podbiegł kilkanaście kroków i padł nieżywy. Większy od naszego rogacza, rogi ma prawie zupełnie proste, karbowane.

Musimy szybko się cofać. Gęste kłęby czarnego dymu wznoszą się przed nami. Dżungla się pali, widać płomień o kilkadziesiąt kroków. Szczęściem wiatr sprzyja, pędząc pożar równolegle z nami. O tej porze roku, pożary dżungli bywają dosyć częste; mała iskierka z fajki lub rozpalonego ogniska wystarczy, by zająć suchą jak pieprz trawę, ogień z szybkością błyskawicy się szerzy, zajmując nieraz milowe wokoło obszary. Nikomu to nie szkodzi, o dżungle nikt nie dba, chyba zwierz spłoszony; przeciwnie nawet, na spalonym gruncie trawa bujniej wyrasta. Mówią, że krajowcy sami pożary umyślnie wzniecają, by lepszą trawę na wypas bydła otrzymać. Przejeżdżamy obszary spalonej dżungli: nagie konary drzew sterczą jak szkielety na okopconym, czarnym i kamienistym gruncie; pusto tu i martwo, ni ptaka, ni zwierza nie zobaczy. W południe złączyłem się z Grantem i jego partyą, która drugiem pasmem dżungli postępowała. Grant zjechał leżącego w trawie jelenia Sambura: z pierwszej lufy ładunek kłapnął, z drugiej do pomykającego chybił i tak stracił sposobność ubicia tego pysznego jelenia. Koło 4-tej doganiamy bryki obozowe; w dali srebrzy się na ciemnem tle gąszczu i skalistych wzgórków szmat wody, małe jeziorko wśród dżungli, obok którego mamy obozować. Gdyśmy dojeżdżali do jego brzegów, krokodyl chlupnął z brzegu do wody. Ogromne te jaszczurki (*Gavial gangeticus*) pospolite są w Indyach, trudno je jednak zabić, gdyż strzelone, chociażby ranne śmiertelnie, uchodzą do wody i przepadają. Na jeziorku roi sie od ptastwa wszelakich gatunków, których wyliczyć nie pozwala mi brak do-

statecznych ornitologicznych wiadomości. Środek jeziorka czernieje od masy kaczek, nurków i łysek; po brzegach kroczą poważnie ogromne żurawie, parami się trzymając, niezliczona ilość białych czapli z płaskiemi dzióbami, dalej czajki, kuliki i kulony nieznanych mi gatunków. Mając jeszcze przed sobą parę godzin do zachodu słońca, zamieniwszy sztućce na strzelby, rozstawiamy się w krzakach nad brzegiem jeziorka, posyłając paru chłopaków do wody, by kaczki ze środka spędzili. Zerwały się jak chmura i rozbiwszy w mniejsze stadka, poczęły krążyć nad nami, dając sposobność zużycia sporej ilości ładunków. Zabiłem pięć kaczek i krzyka: kaczki dwojakiego gatunku, jedne bronzowe, z białemi lotkami i brzuszkami, zwane po angielsku dadwall *(Chaulelasmus streperus)*, drugie większe, jak gęsi niemal, popielatego koloru, z białemi odmianami na szyi i brzuchu *(Anser indica)*. Grant także parę kaczek ubił i wyszturkał gdzieś w krzakach zająca, co razem z kaczkami stanowi smaczny dodatek do dzisiejszego obiadu, przerywający nieco jednostajność wiecznej baraniny, zwykłej w całych Indyach a w obozie wyłącznej niemal mięsnej potrawy".

Następny dzień był szczęśliwszy. Podróżnik nasz ubił nilgaja.

„W drugim miocie — opowiada — siedziałem na skale w głębi skalistego wertepu miedzy dwoma wzgórkami. Ledwo naganka ruszyła, na prawo przedemną parę kamyków się stoczyło, gałęzie poczęły trzaskać i po chwili zoczyłem potężnego byka nilgaja, który powoli i niezgrabnie, ostrożnie się rozglądając, spuszczał się z górki na połeć o jakie 60 kroków odemnie. Patrząc pod słońce wydawał się cały siny, prawie niebieski, ztąd też słusznie Anglicy „blue-bull" czyli niebieskim bykiem go nazywają.

Poczekałem aż z górki zeszedł i w chwili, gdy strumyczek w dole wertepu przeskakiwał, posłałem mu dwie kule ekspresowe. Po drugiej dał znak jak łoś strzelony i w niezgrabnych susach rwał pod przeciwległy pagórek. Po odgłosie drugiej kuli byłem pewny, że w nim siedzi, jakoż gdy naganka doszła, podbiegłszy do miejsca strzału, zoczyłem na kamieniu pierwszą kroplę farby.

Od dawna mam wrodzoną pasyą chodzenia za postrzałkami, pochwyciłem też skwapliwie tę sposobność i porzuciwszy resztę polowania, z kilkoma nagimi krajowcami, puściłem się tropem za postrzelonym zwierzem. Trudno sobie wystawić, jak żmudnem jest śledzenie tropu farby na gruncie skał i czerwonawych kamieni, gdzie farba, przysychając odrazu na rozpalonym głazie, schodzi się niemal z kolorem skały, lub suchych czerwonawych liści. Byk słabo farbował, miejscami wcale nic; z mozołem i trudem wolno posuwaliśmy się naprzód, przedzierając przez kolczaste krzaki na stromym stoku pagórka. Hindusi z niesłychaną bystrością odnajdują najdrobniejszy ślad tropu, dzięki im zdołaliśmy go nie zgubić.

Zszedłszy z pagórka, wyprowadził nas ślad na równą przestrzeń, wysoką trawą zarosłą. Tu śledzenie farby na żółtej trawie było łatwiejsze, nareszcie po 3 godzinach marszu, doszliśmy nieżywego już nilgaja. Kulę miał w brzuchu za nisko. Potężny byk, wielkości łosia; pierwszy raz widziałem zbliska tego zwierza, z tego bowiem, którego w Goonie zabiłem, tylko czaszkę i rogi przynieśli. Historya naturalna zalicza go do bowidów w sub-kategoryi „Tragelaplinae". Przypomina nieco gatunek wielkich afrykańskich antylop, trudno jednak powiedzieć do czego on podobny. Kształtem do łosia, garło ma wysokie jak koń, łeb jak u młodego byka, rogi zaś krowie, brzydkie i małe, śmiesznie małe w stosunku do ogromnego korpusu. Stare byki jak mój z latami sinieją, niebieskawego nabierając koloru, klempy znacznie jaśniejsze. Skórę ma niesłychanie grubą i twardą: dawnemi czasy robiono z niej tarcze, wysuszona bowiem staje się twardą jak deska. W ogóle zwierz więcej oryginalny i ciekawy niż ładny, brak pięknych rogów odejmuje mu znamię pięknej trofei myśliwskiej.

Trudno opisać dziką radość poczciwych Hindusów, gdyśmy zwierzę doszli; śmiejąc się do rozpuku, poczęli pokłony bić, to mnie, to leżącemu nilgajowi, jakby mu dziękując, że z jego łaski obiecany „bakszysz" kilku rupii dostaną — dla nich to fortuna. Zaczęły się między nimi długie, dla mnie naturalnie nie zrozumiałe dyskusye nad nilgajem, zapewne co do rozdziału „bakszyszu" lub transportu zwierza do obozu; pokazało się bowiem, że moi towarzysze za wysokiej są kasty, by się zniżyć mogli do zaniesienia zwierza do obozu. Musiałem zostawić go pod strażą i z powrotem spieszyć, by koolisów po niego wysłać. Wracając naszym śladem, spotkałem się bec à bec z dwoma szakalami które zwietrzywszy widocznie farbę, jej tropem spieszyły na ucztę, ciesząc się już zapewne ze smacznego kąska, którego zastać nie miały".

Dnia 15. marca, o 12 mil dalej, w okolicy miejscowości Lopal sygnalizowano tygrysa, lecz pomimo przepędzenia trzech kniei, nic można było na niego natrafić. Przy końcu polowania, gdy już zniesiono klauzulę pierwszego strzału do tygrysa, padł z ręki dr. S. pies dziki *(Cuon rutilans)*. „W środkowych Indyach — mówi autor — i u podnóża Himalajów pospolite to zwierzę, choć rzadko się na polowaniu spotkać, a tem mniej ubić go zdarza. Żyją parami, czasami w liczne stada się zbijając i wtedy biada zwierzęciu, które się przed nie dostanie. Ni jeleń, ni dzik, ni niedźwiedź nawet nie jest wolny od napaści stada dzikich psów. Polują milczkiem, niesłychanie szybko za tropem wybranej ofiary pędząc; przytaczają nawet autentyczne zdarzenie, że stado dzikich psów tygrysa do ucieczki zmusiło, zabierając mu zaduszonego przezeń Sambura. Para dzikich psów jest w stanie najlepszy zwierzostan w danej miejscowości w krótkim czasie zniszczyć: część wyduszą, resztę rozpędzą i rozgonią. Zwierzę to, wielkości wilka przelatka, zupełnie do niego podobne, włos ma krótki, rudo-ceglasty, ogon czarny, dla nas stanowi ciekawą trofeę. Charakterystyczną cechą natury dzikiego psa jest to, że się nigdy nie udało choćby jednego oswoić, złapane bowiem, pozostają strasznie dzikie i szybko giną w niewoli".

Nareszcie dnia 16. marca pojawił się tygrys w miocie i został mocno postrzelony, lecz niestety, pomimo pięciodniowych dalszych poszukiwań, przepadł jak kamień w wodzie i nie stał się łupem naszych myśliwych. Oto niektóre ciekawsze chwile tych łowów.

„Nadedniem — pisze nasz podróżnik — wpadł Hindus „schikari" z wiadomością, że tygrys znowu wołu zabił i pożarł. Przechodzący przypadkiem niedaleko od tego miejsca przed północą mieszkaniec pobliskiej osady, słyszał szamotanie się i ryk biednego bydlęcia. W przeciągu 36 godzin zatem tygrys drugiego wołu pożerał. Nielada apetyt! Zebrawszy ludzi ruszyliśmy do kniei i zajęli miot jak wczoraj.

W połowie miotu padł strzał ze stanowiska Stefana, potem szybko za nim drugi, po chwilce trzeci. „Zabił, trzecim dobija" — pomyślałem sobie, — nie śmiałem jednak złazić, gdyż regułą tygrysiego polowania jest, tak długo po strzale na drzewie wyczekać, dopóki albo strzelający nie da sygnału, że zwierza na miejscu położył, albo prowadzący polowanie pierwszy ze stanowiska nie zejdzie. Postanowienie to bardzo jest racyonalnem, gdyż może się zdarzyć, ze tygrys

postrzelony lub chybiony obłoży i w innem miejscu wytknie. Tymczasem Stefan nie dawał świstawką sygnału, że zabił, Grant jak posąg dalej stał na drzewie — należało czekać. Naganka w mig po strzale umilkła, na drzewa się schroniwszy, ponura cisza zaległa, nic prócz sępów nad padłem krążących. Przeszedł kwandrans, który wiekiem mi się wydał; paliła mię ciekawość dowiedzieć się, co się stało, nie mogłem zaś dojrzeć stanowiska Stefana drzewami zakrytego. Jeszcze kwandrans minał, wreszcie Grant się ruszył do złażenia. Nie czekając na niego pobiegłem do Stefana, by się nareszcie o wszystkiem wywiedzieć. Okazuje się, że ogromny tygrys wyszedł na niego stokiem pagórka na kroków 40 i stanął przed nim na połeć, ponieważ szedł miotem równolegle z linią strzelców. Stefan nie strzelił, myśląc, że tygrys może ku mnie się zwróci: po chwili tygrys obłożył i drugi raz wyszedł na niego, tym razem na sztych w małej kotlince naprzeciw jego stanowiska. Przypuścił go na 25 kroków i gdy tygrys, skręciwszy się nieco, łopatkę mu pokazał, strzelił do niego z ekspresa pierwszy raz. Tygrys zwrócił się na miejscu i chrapliwie mrucząc, postrzelony widocznie, powoli darł się pod pagórek; wtedy strzelił drugi raz, tygrys wylazłszy na szczyt wzgórka, przystanął i Stefan miał czas na nowo nabić i trzecią kulę mu posłać, poczem zwierz znikł w gąszczu.

Przybiegł Mahmud Khan z trzema innymi żołnierzami i poczęły się narady, co robić wypada. Mahmud i żołnierze obstawali koniecznie, by posłać do Goony po słonia i czekać do jutra, my z Grantem nalegamy, by, bądźcobądź, piechotą iść za śladem. Na tem drugiem stanęło i pierwsza rzecz naturalnie zaczęliśmy od dokładnego obejrzenia miejsca strzału. Farbę od razu znaleźliśmy po pierwszej kuli, instynkt mi też mówi, że tylko pierwsza kula w nim siedzi, następne zaś strzały chybione. Ustawiliśmy się rzędem: Grant, Stefan, ja i czterech żołnierzy, Mahmud prowadził. Żołnierze co parę kroków wyłażą na drzewa, czy się nie uda ujrzeć leżącego zwierza. Farby dosyć, ślad wciąż prowadzi pod górę stokiem pagórka; niebawem znaleźliśmy się u szczytu tegoż, przed nami stromo obcięta ściana granitu i w dole skalisty wertep gąszczem zarośnięty. Widzimy po farbie, że tygrys przyszedł do skalistej ściany, za wysoko mu się jednak do skoku na dół musiało wydawać, gdyż widocznie przystanął, w dół popatrzał i na prawo wzdłuż ściany się zwrócił. Ściana się nieznacznie zniżała; w jednem miejscu kilka głazów jak stopnie schodów w dół prowadziło, tu się wertep zwężał, tworząc załom w skalistej ścianie. To miejsce wybrał tygrys, by się na dół spuścić, widoczne bowiem były krople farby na kamiennych stopniach. Mahmud tu przystanął i położywszy się na brzuchu, starał się zajrzeć pod siebie, pod załom ściany. Uszło mu to jakoś i nie zważając na niego, chciałem za farbą w dół złazić. Jedną nogą byłem już na pierwszym stopniu w dół prowadzącym, gdy raptem uczułem, że mnie ktoś z tyłu silnym ruchem za pasek uchwycił i całą siłą w tył w górę szarpnął. W tejże chwili rozległ się piekielny, ochrypły, demoniczny ryk i straszliwa bestya o krok przedemną z załomu ściany jak piorun wyskoczyła w miejsce, dokąd właśnie chciałem schodzić i w tejże chwili, napowrót w tył się zwróciwszy, znikła nam z oczu pomiędzy skałami w ciemnym i wąskim wertepie.

Cały epizod trwał mniej niż sekundę, i o strzale mowy być nie mogło; popatrzyliśmy tylko po sobie; jeden żołnierz, nie wiem dlaczego, leżał na ziemi, Grant był blady jak trup, ja sam nie wiedziałem w pierwszej chwili, co się stało i kto mnie tak à tempo w górę szarpnął.

Pokazało się, że Mahmud, zaglądając pod załom ściany spostrzegł wyglądający z pod skały łeb przyczajonego tygrysa, zerwał się jak mógł najspieszniej i przytomnem uchwyceniem za pasek w tył mię porwał. Gdyby nie on, byłbym się zapewne znalazł w zębach tygrysa, który zaległ w wydrążeniu skały i słysząc nadchodzących ludzi, przyczaił się do skoku. Kałuża farby, w miejscu gdzie leżał, dodała nam otuchy i pewności, że daleko nie pójdzie".

Nadzieja ta niestety nie sprawdziła się.

Znalazłszy smugę świeżutkiej farby poza wertepem, puszczono się za postrzałkiem przez trawy piechotą, lecz znowu bez skutku.

„Dalej iść za śladem farby — mówi nasz autor — w wysokiej trawie, gdzie na krok literalnie nic się przed sobą nie widzi, było, gdy teraz o tem pomyślę, prostem szaleństwem, lecz wówczas się o tem nie myślało i linią się znowu ustawiwszy, z palcem na cynglu, jak na kuropatwy na porywanego w owsie, posuwaliśmy się naprzód. Nawiasem tu wspomnę, że niema na świecie większej emocyi w polowaniu, jak piechotą iść za takim postrzałkiem jak tygrys; chęć ujrzenia zwierza łączy się z uczuciem śmiertelnego niebezpieczeństwa. Za najmniejszym szelestem krew w żyłach się ścina, niema nerwów, choćby nie wiem jak zahartowanych, któreby w podobnej chwili potężnemu wzruszeniu były w stanie się oprzeć. O ile bowiem polowanie na tygrysa, jeżeli się zachowa przepisane środki ostrożności, nie jest wcale niebezpiecznem, o tyle w razie zaniedbania powyższych środków, na dziesięć wypadków, ośm tragicznie się kończy".

Idąc tak po śladzie, doszli nasi myśliwi do małej rzeczułki. Tu znaleźli szeroką plamę farby na kamieniu. Tygrys widocznie dłużej tu się zatrzymał, a może pił wodę i tarzał się w niej, lecz poza rzeczką farby coraz mniej, a wreszcie znikła kompletnie. Ponieważ zaś jeszcze w tym miocie, jeden z obławników, siedzący na drzewie, zapewniał, że widział tygrysa drapiącego się na pagórek o jakie 350 kroków, więc wysłano do Goony po słonia, ażeby dalsze poszukiwania za postrzałkiem na słoniu odbywać.

Dnia 17. marca pod wieczór, przyciągnął słoń z Goony, stary Ramdullah, 80 lat liczący, i nazajutrz rano Grant i hr. Potocki, siedząc w „howda", czyli w wieżyczce na grzbiecie słonia przypiętej, za nimi krajowy „szikari" dla wskazywania drogi, a na łbie Ramdulli „kornak", który nim kieruje — wybrali się na dalsze poszukiwania.

„Systematycznie — pisze autor — krok za krokiem przeszukujemy każdy gąszcz, każdy wertep w okolicznych kniejach i wzgórkach. Rozpaczliwie nic — tygrys jakby w wodę wpadł.

Mam za to sposobność, pierwszy raz na myśliwskim słoniu jadąc, podziwiać jego zręczność i rozum, ludzki niemal spryt, gdy w gąszczu toruje drogę dla siebie i wysokiej na nim „howdy". Drzewa i grube konary łamie, albo trąbą je skręcając, albo gdy drzewo zbyt grube, opiera się o nie czołem i w ten sposób druzgoce je jak zapałkę, lub też nakoniec nogą je do ziemi przygniata. Wspinając się na strome pagórki i urwiste skały, ostrożnie naprzód nogą próbuje. Jeźdzcy nieraz dziwaczne pozycye na grzbiecie jego przybierać muszą, a rzucani to w tył to naprzód, do sztuki ekwilibrystycznej się uciekają, aby z howdy nie wylecieć.

W południe odpoczęliśmy nieco, by dać folgę słoniowi i sobie, wtem jeden z żołnierzy, którzy opodal rezultatu naszych poszukiwań mieli oczekiwać, przybiegł z oznajmieniem, że przypadkiem spostrzegł na drodze parę kropel farby za-

schłej, lecz świeższej, niż z pierwszego dnia, gdy tygrys był strzelony. Pospieszyliśmy w to miejsce, rzeczywiście parę kropel farby czerniało na kamieniu. Lecz co dalej? dokąd dalej poszedł? Napróżno kilku nas, koła zakreślając, każdy kamyczek, każdą niemal trawkę obejrzało, nie było sposobu więcej farby odnaleźć. Dżungla tu otwarta jak step niemal, w oddali o paręset kroków czerniał gąszczyk niewielki, jakby kłąb krzaków mimozy i jaśminu. Należało i tam poszukać, wsiadłszy więc na słonia, zwróciliśmy go w to miejsce. Zaledwo stary Ramdullah wlazł w krzaki, wydał krzykliwy, śmiesznie cienki jak na takiego kolosa, głos — „słoń przemówił“ jak mówią Anglicy. Porwaliśmy się do sztućców. Ramdullah parę kroków się posunął, lecz jakby niechętnie i nerwowo kroczył, trąbę zwinąwszy w kółko i do góry ją podciągnąwszy — wszystko oznaki nieomylne, że tygrysa wietrzy. Mieliśmy chwilę strasznej emocyi, gdy słoń nagle trąbę spuścił, wyprężył i przed siebie wskazał, gdzie pod krzakiem mimozy trawa była zbita, jakby jaki zwierz wielki tam był leżał. Zauważyliśmy sobie to miejsce i dalej cały gąszczyk przetratowali. Ramdullah ciągle dawał oznaki niepokoju, lecz tygrysa już nie było. Powróciliśmy nazad do miejsca, gdzie trawa była zbitą i tu zsiedliśmy ze słonia, by dokładnie miejsce obejrzeć. Kałuża ciemnej zaschniętej farby i sporo rudych włosów na kolczastych liściach mimozy, wskazywały jasno, że ranny tygrys tu leżał; farba z wierzchu zaschnięta, z pod spodu była jeszcze wilgotną, musiał tu albo noc przebyć, albo może do samego południa przeleżał i niewięcej jak parę godzin przed naszem przybyciem ruszył. Naokoło nigdzie farby nie było, rana musiała zaschnąć, farby więcej nie puszczając. Gdzie dalej się podział — niewiadomo; mógł gdziebądź w trawie zalegnąć lub wyzdrowieć i wynieść się zupełnie“.

Jeszcze jeden cały dzień czyniono dalsze poszukiwania na słoniu, podczas gdy Mahmud z żołnierzami obszedł wszystkie potoczki — lecz nigdzie nic — tygrys przepadł — nie jeden zato ciekawy zwierz, do którego strzelać nie wolno było, uniknął śmiertelnego pocisku. W nocy zato, Mahmud Khan, któremu Hindus z pobliskiej wioski dał znać o panterze, która mu kozę zadusiła — wyprawił się tam na zasiadkę, i ubił małą panterę nie wiele co większą od rysia. „Mahmud zdrajca — mówi z wyrzutem hr. Potocki — zamiast którego z nas zbudzić, sam poszedł“.

Dnia 20. marca wieczorem wróciła wyprawa do Goony.

C. d. n.

Kowal zawinił — ślusarza powiesili.

Przez pewien czas byłem okolicznościami skazany na mieszkanie w mieście. Co to za męka i nudy dla wieśniaka z rodu — to tylko ten wiedzieć może, co to przechodził. W dodatku nie miałem żadnego zatrudnienia. Jedyną prawie rozrywką moją było wyjść za miasto pomiędzy pola i łąki, lub do lasu. Jestem od dziecka namiętnym myśliwym, otóż tam choć przepiórkę i kuropatwę usłyszeć mogłem, lub kicającego zajączka zobaczyć.

Pewnej lipcowej soboty zaszedłem aż pod las bielański, zszedłem z drogi w pola i usiadłem na wierzchu góry, na kraju lasu, aby spocząć pod młodym gęstym świerczkiem.

Czas był cudowny, słońce kryło się już po za las, złote swe promienie rzucając na ten nasz drogi Kraków, który przedemną leżał jak na dłoni. Zapatrzyłem się na te smukłe wieżyce kościoła Maryackiego, w tę wydętą jak kolosalny balon kopułę kościoła św. Piotra, w ten nasz drogi skarbiec pamiątek narodowych, Wawel — i zapomniałem o całym świecie.

Nie wiem jak długo trwałem w takiej kontemplacyi, gdy zbudził mię z dumań trzask łamanej gałęzi. Rzuciwszy oczami przez nisko zwieszające się gałęzie świerka po za siebie, zobaczyłem nie dalej jak na 50 kroków usadawiającego się pomiędzy dwoma krzakami jałowcu jakiegoś jegomości, którego toaleta nie świadczyła o wielkiem mód protegowaniu. Siadł sobie wygodnie, wyciągnął nogi, bliższe gałązki pozałamywał na siebie tak, aby jak najmniej być widocznym, sięgnął ręką pod rodzaj paltota letniego, w jaki był ubrany, i wyciągnął stamtąd małą kolbkę, sięgnął za cholewę nad potrzebę wysoką i wyjął lufkę, nie większą jak u byłych ułańskich pistoletów, złożył to razem, przedmuchnął, z kieszeni wyjął flaszeczkę z prochem i śrót w papierku, i nabił swą strzelbinę, oglądając się uważnie od czasu do czasu, przyczem zaprzestawał swej roboty.

Ciekawy, co z tego będzie, siedziałem cicho, choć było mi nie bardzo wygodnie siedzieć z ciągle odwróconą głową. Może po godzinie takich czatów, zobaczyłem dwie sarny, które niedaleko od nas wyszły z lasu i zaczęły skubać zielony jeszcze owies. Spojrzałem na mego towarzysza. Twarzy jego wyraźnie widzieć nie mogłem, bo już było chwilę po zachodzie słońca, lecz oczy jego błyszczały jak oczy wilka, utkwione, wbite prawie w żerujące sarny. Żerowały one o jakie 80 kroków od niego. Było mu to widocznie na jego strzelbinę za daleko, więc czekał jeszcze jakiś czas cierpliwie, ale gdy się coraz bardziej zciemniać zaczynało, ostrożnie położył się na brzuchu i ruchami niedostrzegalnymi zaczął się czołgać, cicho jak wąż, rowem otaczającym las, ku sarnom. W czołganiu tem otarł się prawie o mnie i widziałem go najdokładniej, tę twarz jeszcze młodą, czerwoną, zlaną potem, o parę kroków odemnie. Gdy już od sarn był niedalej jak na 30 kroków, złożył się ostrożnie i strzelił ze strzelbiny, która nad spodziewanie głośno huknęła.

Jedna z sarn padła, jakby ją kto kosą podciął. Sąsiad mój podniósł się szybko, ale w tejże chwili i ja się mimowolnie podniosłem, robiąc zwieszającymi się gałęziami szelest. Zobaczył mnie i dał susa w leżący przed nami potok, zarosły krzakami, zostawiając strzelbę swą na ziemi. Poznałem wtenczas, że to kłusownik; podszedłem do jego strzelbki, podniosłem ją i zacząłem oglądać.

Wtem usłyszałem nagle tupot, uczułem uderzenie pięścią w kark i usłyszałem słowa:

— A mam cię hyclu, złodzieju! Już ta czwartą noc nie spię, tylko na ciebie czatuję. Antek, wiąż mu graby pasem, żeby nam psiawiara ciarach nie uciekł!

I uczułem się schwytanym za ręce, które mi niemiłosiernie w tył wykręcono i skrępowano.

Teraz dopiero, po wstrząśnieniu uderzeniem i zalęknięciu, zacząłem przychodzić do świadomości. Obok siebie zobaczyłem dwóch ludzi: jeden, chłop jak świeca, sążniowy, z blachą na piersiach, lat około 40, drugi, młody chłopak, może 18-letni.

— Bójcie się Boga ludzie! — rzekłem — co chcecie odemnie, czego mię bijecie i wiążecie? To przecież nie ja strzelałem i nie ja sarnę zabiłem.

— Co? tyś sarnę zabił? Gdzie ona, pokaż? O, rany boskie, ady leży niebożątko, jeszcze grzebie nóżką i to jeszcze siuta — mówi starszy, obracając zabitą sarnę na wszystkie strony, podczas gdy młodszy stał koło mnie z drągiem.

— Poczekaj ptaszku, to nie pierwsza, która z twej złodziejskiej ręki padła!

— Alež na rany boskie, człowieku, upamiętaj się — wołam — co robisz i na co się narażasz! Wiązać mnie, niewinnego człowieka! Ja będę krzyczał gwałtu!

— Cicho! hyclu, ciarachu, bo jak ci dam jeszcze raz w pysk, to się nie spamiętasz aż na sądzie ostatecznym. Złodziejski portret! Widzicie go! nie dość, że raubszycuje, jeszcze będzie gwałtu krzyczał. Bierz go Antek do pana leśniczego, niech się ptaszkowi temu przypatrzy, a potem do żandarmów do Krakowa odprowadzimy. Zawieś mu na karku strzelbę, a ja wezmę sarnę. Ale to jucha grubą sobie sztukę wybrała! Wziął on ich tu już trzy, co ja wiem, ale ta może będzie ostatnia. My sobie tam jeszcze u leśniczego z nim pogadamy i nauczymy go po kościele gwizdać. No, wiedź tego ciaracha, a jakby uciekał, to wal kijem przez łeb, niech lepiej złe nasienie ginie. Oj, Jezu! Jezu! — zaczął nagle zawodzić, przyglądając się sarnie — a dyć ta siuta musi mieć gdzieś młode bo wymie u niej jak u krowy. Poczekaj, będziesz ty tak beczał, jak to koźle tam gdzieś beczy, szukając matki!

I tak krzycząc i mrucząc postępował za nami z kozą na karku.

Szedłem posłusznie, nie odzywając się już nic, gdyż bałem się, abym znów pięścią od rozsierdzonego leśnego nie dostał.

Zato znów Antkowi zebrało się na gadanie i powiada:

— Cie-wy, Stanisławie, to takusieńki jak ten, któregoś-wa w okopywanie od przegorzalskiego lasu gonili.

— A juści ten sam być musi.

— A będzie-wa go wieszali ze palce u powały jak się przyznać nie będzie chciał?

— A juści — powiada leśny.

Piękna perspektywa, myślę sobie i westchnąłem szczerze do Boga, aby mię z tej przygody szczęśliwie uwolnić raczył.

Szliśma lasem, nie więcej nad pół godziny, lecz i te mi się wiekiem wydawały. Pasek w nabrzmiałe ręce wrzynał mi się co raz głębiej, sprawiając ból nieznośny. Nareszcie doszliśmy do porządnego domku z oknami oświetlonymi. Leśny złożył kozę na ziemi i zapukał do drzwi. Jakiś głos, nie obcy mi odpowiedział:

— Proszę!

Leśny uchylił drzwi z słowami:

— Proszę pana leśniczego, złapaliśmy raubsica; zabił kozę prawie przy nas od Nawarowego potoka.

— A no to go pokaż!

I popchnął mnie Antek na schodki, prowadzące do kancelaryi.

Wnet znalazłem się w oświetlonym lampą pokoju naprzeciw człowieka, którego rysów widzieć nie mogłem, bo światło miał za sobą.

— Co to pan? panie Władysławie, ależ to być nie może! Stanisław, rozwiąż pana natychmiast. Jak to się stało? Ale proszę usiąść, bo pan widzę ledwie na nogach stoi. Jezus, Marya, ktoby się tego był spodziewał! Prędzej bym sobie dał głowę uciąć, niż bym miał pana posądzić!

I tak dalej i dalej labidził poczciwy Malicki, który jeszcze u mego nieboszczyka stryja coś przez lat 20 leśniczował, a który mnie do polowania wkładał.

Opowiedziałem mu wszystko ze szczegółami, jakim sposobem tu się znajduję, opisałem dokładnie kłusownika, w którym oni poznali szewca Królika ze Zwierzyńca i przepraszany, z szalonym bólem głowy, odjechałem koniem leśniczego do Krakowa.

Leśny i Antek stali z rzadkimi minami koło ganku, gdym wyjeżdżał.

—Cie-wy — mówił Antek, skrobiąc się w głowę — co to za štuka ten Królik! I sam się nie dał złapać i jeszcze na drugiego zwalił...

Wł. Zaleski.

Nasze kaczki dzikie.

Studyum przyrodniczo-łowieckie

napisał

Władysław Spausta.

(Dokończenie.)

Przyzna mi każdy znawca odmian naszych kaczek, że zdobycz łowiecką stanowią nieraz okazy, które noszą na sobie cechy połączone kilku odmian. Musi tu zatem mieć miejsce do pewnego stopnia bastardowanie odmian, co wobec gromadnego łączenia się odmian i zawsze liczebnej przewagi kaczorów, łatwem jest do przypuszczenia. Według mego przekonania, opartego na spostrzeżeniu, że li tylko kaczki, noszące na sobie kompletne cechy odmiany, wychowują potomstwo, i że zniesienia kaczek zbastardowanych nie przychodzą do rozwoju, muszą być wszelkie bastardy niepłodnymi. Pomijając obserwacye, które na tem polu są niezmiernie trudne i przechodząc na pole czystej spekulacyi rozumowej, przyjść mu-

simy do tego samego wyniku, w przeciwnym bowiem razie w oczach naszych zatarłby się jeden typ ogólny. Przyroda, chcąc utrzymać odmiany, w bezpłodności bastardów położyła kres ujednostajnienia form organizmu, a zwolna i nieznacznie pracuje ciągle wpływem zmiennych stosunków kosmicznych nad wytwarzaniem się nowych typów.

Ustawa z dnia 30 stycznia 1875 naznacza ochronę kaczki od 15 kwietnia do 15 czerwca, nie wyjmując z pod ochrony kaczory w porze wiosennej, jak to czyni ustawa dla Królestwa Polskiego.

W chwili, gdy to piszę, t. j. w przededniu reformy ustawy łowieckiej, gdy „Łowiec" otworzył swe łamy dla dyskusyi nad potrzebami nowej ustawy, i gdy odezwa Wydziału Galic. Towarzystwa łowieckiego z dnia 20 grudnia 1890 najszerszą dyskusyę publiczną w tym względzie ze wszech miar za pożądaną uważa, niech mi będzie wolno przy tej sposobności wypowiedzieć kilka słów w imieniu moich dobrych znajomych, t. j. w imieniu wszystkich kaczek dzikich, tej miłej choć krzykliwej hołoty, która tak chętnie gości na tym kawałku wielkiej naszej Ojczyzny, dla którego nowa ustawa ma być spisaną. Oto hałaśliwa ta zgraja, nie mogąc uporać się z wychowem swego pokolenia na termin, na którym dotychczasowa ustawa dozwala już na nie polować, prosi na przyszłość o względy i o przedłużenia ochrony do dnia 15 lipca, w którym to czasie święcie przyrzeka dostarczyć, oprócz wyjątkowych wypiórków, masę podlotów a nawet farbówek. Wszak ustawa łowiecka kroczyć powinna za postępem specyalnej wiedzy, a nie używać jakichś obumarłych szablonów, wyjętych może z zupełnie innych stosunków, szablonów, które najfatalniej zastosowano w ustawie z r. 1875.

Kogo nie poruszyło kilka tych słów prośby biednego ptactwa, którego tłumaczem być się ośmieliłem, tego niech przekonają naoczne fakta, ten niech poświęci chwil kilka w połowie czerwca i niech podglądnie, co się wówczas na na naszych wodach dzieje, a przyroda z pewnością tak wyraźnie go przekona, że dalsze słowa w tym kierunku będą zbytecznymi.

Jeżeli na przyszłość ustawa oprze się na wyraźnych głoskach przyrody, jeżeli upadną zastarzałe formularze, to z pewnością na pewnych i prawdziwych podstawach zbudowane paragrafy nie zawstydzą się wobec wykonawców łowiectwa, — gdy myśliwemu odjętą zostanie możność patrzenia się na skandal, jaki pies jego na wodach wyprawia, dusząc niemogące jeszcze wzlecieć kaczęta.

Wychodząc z pewnika, że w rodzaju tych ptaków zawsze większa ilość samców się znachodzi, dozwalają niektóre ustawy krajów europejskich strzelać kaczory przez rok cały. Praktyka ta wcale nie zasługuje na naśladownictwo, bo mając niby to na celu ułatwienie doboru płciowego przez usunięcie nadliczbowych zapaśników, stać się może fatalną w swych skutkach, nadwerężając zanadto stosunek obu płci ptaka w jednożeństwie żyjącego. Samice zatem nie znachodząc potrzebnych im warunków i nie godząc się na życie nieznanego w przyrodzie panieństwa lub wdowieństwa — opuszczają nieprzyjaźne okolice i wynoszą się w strony, gdzie swobodnie jeszcze palą się pochodnie hymenu.

Po długim spoczynku broni myśliwskiej, otwierają polowania błotne nowy sezon, w szczególności zaś kaczołówstwo; a sposób wykonywania tegoż, w czasach obecnych jest rozmaity, stosownie do terenu na jakim się kaczki znajdują.

Na wodach odkrytych jest polowanie bardzo trudne, niewiele pomagają tu zielenią maskowane czółna, bo ostrożny ptak nie tak łatwo daje się zbałamucić. Pozostaje tu tylko jeden sposób, a tym jest przynęcenie kaczek do brzegu, na którym jakiekolwiek, nie wpadające w oczy ukrycie się znachodzi. Lecz i to nie łatwo się uda. Za przynętę najlepszą jest wyżęta trawa manna z nasieniem, którą się na płytszych miejscach w ten sposób umieszcza, iż ma pozór jakby tam sama wyrosła.

Na nieszczęście jednak kaczek, rzadko kiedy zdarzają się wody zupełnie odkryte, przeważna część wód, na których kaczki gromadnie przebywają, są mniej lub więcej zarosłe. Na takich wodach, gdy tylko jaka taka jazda czółnem jest możliwą, staje się kaczołówstwo najprzyjemniejsze i najkorzystniejsze, jeżeli tylko czółno wody nie przepuszcza, nie koliba się nadto i lekko się kierować daje.

Nie zawsze jednak i na głębokiej wodzie użyć się da czółno, bo zwykle na wodach stojących tworzą się nieprzybyte zapory dla czółna z roślin wodnych rozmaitego rodzaju, występujących gromadnie, tak, iż poruszenia czółna są albo niemożebne lub przynajmniej strasznie utrudnione. Nieraz już ugrzązłem i w pocie czoła ledwo zdołałem się wydobyć z takiej matni. A jednak wody takie są najulubieńszem siedliskiem kaczek, bo wśród gąszczy ziela kryje się tam najrozmaitszy żer.

Nie chcąc się narazić na ugrzęźnięcie, zwłaszcza na wielkich obszarach, potrzeba w celu wolnych przejazdów nieco ręką ludzką ziela te oczyścić tj. uliczki w nich poprzecinać. Rzecz ta wydaje się pozornie wymagająca wiele pracy, jednak tak nie jest; robota kosą we wodzie z czółna postępuje bardzo szybko, a kilku ludzi do tego włożonych, mogą na wielkich powierzchniach wykonać konieczne przejazdy. W szczególności chodzi tu o otworzenie dojazdów do ulubionych miejsc kaczek, kierującemu zatem tą robotą muszą być one dobrze znane, aby niepotrzebnie nie pracowano. Pomimo, że ostry przód mające czółno, w którym środek ciężkości ku tyłowi jest cofnięty, przez trawy i trzciny, nad wodą wystające, lekko się posuwa, chodzi tu o możliwie najspokojniejszą jazdę; a zatem w przejazdach najmniejszy listek niepowinien nad wodą wystawać, bo to wszystko sprawia przy dotknięciu czółnem tarcie i szelest, wystarczający zwykle, aby przed czasem kaczki się zerwały.

Po kilku dniach strzelaniny z czółna na takich wodach, roztropny ten ptak, miarkując, że jest wykryty i prześladowany, zmienia miejsca swych siedlisk, a nawet nieraz daleko się wynosi. Jednak nie trwa to długo. Po kilku dniach spokoju nawiedza znów dawne, niejako uprzywilejowane miejsca. Przyczyną tego jest nagromadzenie żeru li tylko w pewnych miejscach, zależne od rozmaitych prądów wody.

Jakkolwiek w szeroko rozlanych wodach nie można na pierwszy rzut oka odróżnić owych prądów, kto jednak często po takich wodach czółnem jeździł, ten poznał, że panują tam, pomimo pozornego spokoju, rozmaitej szybkości prądy wody a między nimi wody zupełnie stojące, stosunkowo najcieplejsze, w których się gromadzi najwięcej żeru. Otóż takie miejsca kaczka najczęściej nawiedza.

Do poruszania czółna najlepszą jest żerdź, bo najmniej męczy przewodnika i płynie się daleko spokojniej, nie wzruszając tak mocno powierzchni wody jak wiosłem. Jedynie tylko na wodach bardzo głębokich okazuje się potrzeba użycia wiosła; do głębokości jednak 3 metrów, wystarcza żerdź.

Polując z czółna na wodach zarosłych, potrzeba niemal koniecznie psa, nietyle dla aportowania kaczek ubitych, które najczęściej z czółna dostać można, ile dla pochwytywania zbarczonych. Do aportowania zabitych wcale bym nawet nie radził używać psa, raz, że pies ogromnie się przytem męczy, a zmoczony wskakując do czółna wody dużo nanosi i otrze-

pywaniem się nieprzyjemny tusz sprawia, powtóre zaś, że plusk, jaki robi we wodzie, płoszy inne jeszcze dosiadujące kaczki. Wreszcie energię psa zachować należy do poszukiwań zbarczonych, a nieraz jedna taka kaczka zmaltretuje psa więcej, niźli całodzienne polowanie.

Z wielką korzyścią może być polowanie z czółna i w towarzystwie przedsiębrane, t. j. w dwóch myśliwych na jednem czółnie lub i na dwóch czółnach, które się w pewnem od siebie oddaleniu w jednym posuwają kierunku. Kaczki w takim razie zepsute z jednego czółna, często nadlatują na strzały dalszego. Naturalnie, iż jeżeli parę czółen równocześnie jest na wodach, z zasady nie powinno się strzelać na wodzie, gdyż tylko w takim razie może się uniknąć bardzo bolesnych wypadków.

Strzały do kaczek pływających również często zawodzą, zwłaszcza nierutynowanych jeszcze dostatecznie w tym względzie myśliwych. Ma to swą przyczynę w tem, że na gładkiej powierzchni oko z trudnością odległość ocenia, strzela się zatem zwykle za daleko, a powtóre, że para wodna, przesycająca rozmaicie warstwy powietrza nad wodami, powoduje pewne zboczenie w kierunku widzenia. Zboczenia te są tem większe, im w większem stadyum parowania znajduje się powierzchnia wody, im spokojniejsze jest powietrze i im z wyższego punktu oko myśliwego spogląda. Ma tu bowiem w całej pełni swe zastosowanie prawidło optyczne, iż promienie świetlane, przechodząc z rzadszego medium w gęściejsze, załamują się od prostopadłej. Jeżeli zatem warstwy bezpośrednio nad wodą gęstą parą są przepełnione, a myśliwy, stojąc na czółnie, z wiele rzadszej warstwy patrzy na wiosłujące kaczki, to mierząc najcelniej, musi zgórować, bo widzi je wskutek wzmiankowanego prawidła pozornie daleko wyżej. Regułą zatem być tu powinno mierzenie w ten sposób, aby ptak siedzący na wodzie widzianym był nad muszką strzelby. Oprócz tego ma tu miejsce również i odbicie się śrótu od płaszczyzny wody, jeżeli strzał dotyka powierzchni tejże pod bardzo ostrym kątem. Kierunek strzału zmienia się tu podobnie jak kierunek ruchu płaskiego kamyka, rzuconego pod bardzo ostrym kątem względem powierzchni wody. Przy znacznem więc nawet zdołowaniu strzału, prawdopodobieństwo pudła jest mniejszem.

Zdawałoby się, że zbyt subtelnie rozbieram ten przedmiot, ale tak nie jest, wiedzą o tem doskonale z praktyki starzy myśliwi, a każdy może się o tem bardzo łatwo przekonać, iż w stosunkach opisanych mogą zajść bardzo znaczne z górowania strzału, jeżeli się nie pamięta na wypowiedziane prawidło. Słyszy się narzekania na strzelbę, obwinia się proch, że słaby, czasem myśliwy sam siebie wyśmiewa, że pudłuje, i to do siedzącej kaczki — a tymczasem zapomina się, że cała sztuka trafienia polega na nastawieniu rury prosto względem przedmiotu, co tu tylko pozornie miało miejsce.

Piesze buszowanie za kaczkami na terenie, nie dozwalającym użycia czółna, nie jest dla każdego dostępne, są bowiem natury delikatne, nie znoszące zamoczenia nóg, które jest tu rzeczą nieuniknioną, gdyż żadnego rodzaju obuwie nie chroni od tego, i nie pomogą wszystkie „niezawodne“ „nieprzemakalne“ smarowidła. Chodzenie zatem po błotach i wodach w obówiu ciężkiem, które ma pretensyę do nieprzemakalności, a przecież od przemoczenia nóg nie ochroni, daleko łatwiej naraża na przeziębienie, niż pozbycia się tego ciężaru, a ubranie chodaków lub jakichkolwiek dziurawych ciżmów, z których woda na wszystkie strony wolno odpływa. Obuwie powinno tu mieć na celu ochronę nogi jedynie przed skaleczeniem, a cel ten osiąga się w zupełności wzmiankowanym sposobem.

Jest tu miejsce stósowne wspomnieć pokrótce o niebezpieczeństwach, jakie nieraz nieostrożnego łowca spotkać mogą przy pierwszem polowaniu tego rodzaju, zwłaszcza, jeżeli sam jeden znajduje się na terenie moczarowatym, oddalonym od wszelkiej pomocy. Niema tu wprawdzie wirów Charybdy, ni uwijają się tam w purpurowej głębi straszne potwory, ale jest głębia dostateczna, aby mogła skryć na zawsze człowieka w swem ciemnem łonie — są niemniej groźne „małe jeziorka trawą zarosłe na poły“, są torfy pływające, po których nieraz korci człowieka puścić się, gdy z niedaleka wabią kaczki syrenim głosem. Torfy te, istne cmentarzyska zmumiowanych trupów roślinnych, na których powstanie składa się przeważnie mech torfowiec (Sphagnum), okrywają nieraz na łąkach i błotach wielkie powierzchnie. Zdarza się, że warstwy te są tak grube, iż przejść po nich można bez szkody, pomimo, że w okół, pod ciężarem człowieka, ugina się i trzęsie kilkanaście a nawet kilkadziesiąt sążni kwadr. terenu. Zdarzają się jednak wypadki, że noga natrafi na słabszą warstwę, i wtenczas przerywa się torf — człowiek wpada niby do wilczego dołu, a w spodzie drętwi ciało zimna nadzwyczaj woda. Ruchy są tu hamowane warstwą na powierzchni, usiłowanie pływania nadaremne, i groźna śmierć wyciąga swe zimne łapy z tej matni. Jeżeli nie uda się wyratować wytoczeniem się całą długością ciała na warstwę torfu jeszcze nieprzerwaną, to niema innego ratunku.

Niechcę tym groźnym obrazem odstraszać bynajmniej młodszą generacyę, w której i tak coraz bardziej zamiera zapał do tego mozolnego myśliwstwa owszem, sądzę, że walka z trudnościami i niebezpieczeństwem powinna być podnietą a nie grozą odstraszającą, lecz stać się może nią tylko wtedy, gdy posiadamy środki zwyciężania trudności, które na drodze spotykamy. Niebezpieczne owe miejsca poznać można czasem po charakterystycznej ich wegetacyi, lecz zawodzące to częstokroć wrażenie opisać się nie da, pozostaje więc tylko dokładne obznajomienie się z takim terenem, nim rozpocznie się na nim polować.

Dla ludzi zdrowych i zahartowanych przedstawia polowanie takie wiele uroku, przechodzi się tu bowiem zaułki i komesze, w które chyba tylko kaczka lub inny ptak zaciągnąć potrafi. Świat oryginalny rozszerza się przed myśliwym, świat ciekawy, w którego ukryciu wre silne tętno życia odrębnego, z którego tajni wynurzają się najrozmaitsze obrazy. Owe lasy trzcin, ruchomych kępin, oryginalną wegetacyą pokrytych, owe kobierce usłane z liści wodnych, nurzające się okrężnice *(Hottonia)*, których kwiatuszki blade, jakby różową zorzą ochuchane, sterczą nad szybą wód, w których toni falistym ruchem miotają się niby ogony gadów łodygi Hogatka podwodnego *(Cerathophyllum)* i osoki *(Stratiotes)*, rozkwitającej nad powierzchnię a nurzącej się w zimną toń, w miarę zbliżania się zimy. Obok tego ten świat fauny oryginalnej — to wszystko, dające się chyba opisać w szerokich tomach a nie w ciągu niniejszej pracy — wynagradza sowicie szczęśliwego myśliwego, szczęśliwego przyrodnika, który w tajnię tę wtargnąć może i umie.

Gdzie wiele kaczek przebywa, można i bez psa buszując do ładnych przyjść zdobyczy. Ponieważ jednak samo szukanie padłych ptaków jest uciążliwe, a wreszcie ponieważ kaczki, kryjąc się w gąszczy, bardzo nieraz twardo dosiadują, staje się rzeczą korzystną i wygodną pies, którędy chodził krótko, a szukał pilnie.

Wiatr kaczki dzikiej podchwytują psy bardzo dobrze, nawet psy stare, których wiekiem osłabiony „pach“ nie do-

zwala ich użycia do innego polowania, są tutaj bardzo użyteczne. W ogóle, psy delikatne z cienką skórą i o cechach wysoko posuniętego uszlachetnienia krwi, t. z. egzemplarze przeształcone, nie nadają się do tego rodzaju polowania.

Skutki działania zimnej wody na rozgrzane ciało tych zwykle bardzo popędnych odmian psów szlachetnych, objawiają się po bardzo niedługim czasie ich użycia. Zupełnie na pozór zdrowy pies przystaje raptem, nogi odmawiają mu posłuszeństwa, zatacza się tyłem, ciepłota ciała przy gorącem oddechu wzmaga się, następują drgawki całego ciała, i pies zmuszonym jest leżeć bezwładnie. Po kilku minutach paroksyzm mija wprawdzie, ale powtarza się po niejakim czasie, a jeżeli szkodliwe wpływy trwają dalej, psy ulegają chorobie, występującej w coraz to silniejszych paroksyzmach.

Na podstawie bardzo licznych doświadczeń upewnić mogę, iż ta afekcya kręgosłupa powodowaną jest jedynie przeziębieniem i nie wpływa tu bynajmniej t. z. „rudowina“ którą niektórzy posądzają o to, przypisując jej zarazem wywoływanie wyrzutów skórnych u psów. Wyrzuty te pojawiają się również u psów delikatnych, słabo obrosłych, osobliwie na spodzie ciała, a powstają wskutek zakażenia tkanki skórnej jadem nakłuć rozlicznych owadów nadwodnych. Naturalnie, że wszelka nieczystość, tamująca czynność skóry, może się stać powodem owrzodzeń, zatem i rudawina, jednak substancya ta, nie posiadająca bynajmniej własności gryzących, działa tu jedynie mechanicznie, jak wszystkie inne substancye zanieczyszczające. Przeciw takim zaś truciznom niebezpiecznym jest, jak wiadomo, woda i mydło najpewniejszem arcanum.

Do kaczołówstwa będą zatem najużyteczniejszymi psy silnie zbudowane, nieco wolne, w naszym klimacie urodzone i wychowane i od szczenięcia do wody zaprawione. Gęsty i długi włos kudłaty ochroni je od dokuczliwych ukąszeń owadów.

Tak na wodach głębszych, jakoteż na błotach, podmokłych łąkach, w trzcinach, na starych stawiskach, może być polowanie wykonane z nagonką. W pierwszym razie jadą naturalnie obławnicy na czółnach w równych odstępach naprzeciw myśliwych, rozstawionych bądź na czółnach pośród wód, bądź na brzegu. Są to w każdym razie kosztowne łowy a stosunkowo niekorzystne, bo zwierzyna mocno się płoszy, i tylko w małej części na strzał nadlatuje. Na wodach czystych, gdzie tylko brzegi kryją gęste trawy, najlepiej udaje się polowanie, gdy jedni myśliwi postępują brzegiem, podczas gdy inni równocześnie płyną w czółnach w oddaleniu wygodnego strzału od brzegu, czystą wodą.

Oprócz opisanych sposobów polowań, dają ciągi poranne i wieczorne w porze jesiennej miłą sposobność strzelania kaczek dzikich. Kto nie uważa na wielkie z łowiectwa zdobycze, temu z pewnością odpowie najbardziej ten sposób polowania.

Nie umęczając się fizycznie, nie tracąc wiele czasu — bo cały ten ciąg trwa najwięcej pół godziny, zwłaszcza, że i noc po upływie tego czasu zapada — można tu zawsze przyjść do kilku pięknych strzałów, jeżeli tylko stanowisko odpowiednio zostało obrane. Każdy ze swą okolicą obeznany myśliwy, po zwróceniu na przedmiot ten uwagi, potrafi najpewniej wybadać owe powietrzone szlaki, którymi kaczki zazwyczaj przeciągają. Miejsca te zależą od topografii terenu, żerowisk, zatem od stosunków czysto lokalnych, tak, iż prawideł stałych w tym względzie niema.

Stanowisko musi być w jakikolwiek sposób ukryte, bodaj zamaskowane kilkoma snopami oczeretu lub gałęzią łoziny, a porą najkorzystniejszą są dnie przed nastąpić mającą zmianą aury, bo wtenczas kaczki szczególniejszy okazują niepokój i obficie przeciągają. Jak zawsze przy strzelaniu o zmroku, tak i tu, należy stać obróconym twarzą do jaśniejszej jeszcze części nieba.

Zasiadki na kaczki wymagają wyjątkowego usposobienia myśliwego, wyjątkowej apatyi i spokojnego temperamentu, bo pominąwszy już dowody cierpliwości, które tutaj tak jak przy każdej zasiadce złożyć potrzeba, ma się jeszcze nad wodami, w porze, gdy najwięcej owadów roi się w powietrzu, i tę straszną plagę do zniesienia. Jednak, jeżeli chodzi o wielką zdobycz niewielkim kosztem, to z pewnością celowi temu najlepiej odpowie ten sposób polowania, dlatego też używają go głównie kłusownicy.

Mówiłem raz z pewnym włościaninem z Kołodrub, który z takiej zasiadki, z jakiegoś zakazanego garłacza czy szturmaka, ubić miał „pił micha kaczok, bilsze jak try czwertki“. Przypuszczam, że w wypowiedzeniu tem już nie chyba łacina ale greczyzna myśliwska przeważała, to przecież i ten grecki język daje myśliwemu wyobrażenie o skutkach strzału z zasiadki.

Myśliwy musi tu się znajdować w ukryciu zupełnem, ku czemu sporządza się budkę z zieleni, z okienkami od strony spodziewanego zbiorowiska, a najodpowiedniejsze są do tego zaciszne żerowiska wśród kępin, porosłych manną, rdestnicą *(Potamogeton)* lub rzęsą *(Lemna)*, albo pokosy zboża, do których się kaczki znęciły, wreszcie ciche, zarosłe ustronia wód pod dąbrowami, gdzie wcześnie owadem nakłuta żołądź wpada i chciwie przez kaczki pożeraną bywa. Ostatecznie mogą być kaczki znęcone sztucznie w pewne miejsca jakimkolwiek żerem ulubionym. Przynęcanie to jednak należy przez dłuższy czas powtarzać, aby ptactwo z budą się oswoiło.

Strzały do całych gromad, a takimi są zwykle strzały z zasiadki, nie należą do prawdziwie myśliwskich, bo nie można tu uniknąć licznych pokaleczeń, popełnia się tu zatem rodzaj barbarzyństwa, tem gorszego, o ile że barbarzyński skutek takiego strzału do całej gromady jest z góry do przewidzenia.

Strzelanie kaczek przy wabikach, na t. z. sadzawkach, jest również zasiadką, połączoną z wabieniem zapomocą kaczek dzikich, w domu wychowanych, a w najgorszym razie kaczek swojskich o dzikiem upierzeniu.

Sadzawki same mogą być albo umyślnie na ten ce wykopanymi zbiornikami wody, albo dają się do tego użyć odnogi wód dzikich, mające łączność z wodami innymi. Urządzenie miejsc ukrycia dla myśliwego, niemniej specyalne użycie wabców, ich rozmieszczenie na sadzawce i t. p. wymagają żmudnego i bardzo dokładnego opisu, jeżeliby miały być podane wszystkie szczegóły tak, aby urządzone wedle nich polowanie udało się należycie. W niniejszej rozprawie znudziłyby one tylko łaskawych czytelników, którzy się w tym kierunku kaczołowstwem nie interesują.

Dzięki postępowi na polu armatury myśliwskiej, polowania w końcu opisane coraz mniej w kołach myśliwych znajdują adeptów. Broń odtylcowa wprowadziła i tutaj reformę ku lepszemu, bo będąc łatwą do użycia, nie zmusza do przemyśliwania nad tak intratnymi strzałami, do jakich powodowała broń dawna, z której mechaniką trzeba było nieraz gorzko walczyć, osobliwie w myśliwstwie kaczem. Jeżeli gdzie, to tutaj broń odtylcowa najlepiej może być wyzyskaną, bo łowiectwo to wymaga obfitych strzałów i korzystania z chwili, co wszystko przy broni odprzodowej, do historyi już poniekąd zaliczyć się mogącej, rzadko kiedy osiągnąć się dawało. Owszem, zdarzało się niemal każdemu, pamiętającemu te dobre dawne czasy, że ze strzelbą, nie chcącą w żaden sposób wypalić, wracać musiał pośród chmar pta-

ctwa do domu i tutaj dopiero, zbrojny w rozmaite instrumenta specyalne, urządzić gruntowne przetykanie, wykręcanie, przepalanie i świeże nabijanie, aby doznać znów powtórnego zawodu, bo niespostrzeżenie pozlatywały kapiszony z kominków i strzelba znów kłapnęła...

Była to broń bardzo przyjemna dla kaczek, ale myśliwego nieraz do wściekłości doprowadzić mogła. Koroną zaś wszystkiego było owe ładowanie na chwiejącej się łodzi, lub stojąc po kolana we wodzie, gdzie strzelby nie było na czem oprzeć. Raz ladsztok utopił się w wodzie, to znów kłaki w torbie zamokły, to się kabzle rozsypały, ba, nieraz wśród gorączkowego ładowania, gdy ptactwo do około fruwało, ręce się trzęsą i pakują do jednej rury dwa naboje prochu, a do drugiej dwie porcye śrótu, a rezultatem tego — co? — potężny policzek, pudło i jedno bziknięcie, a na ostatku wściekła pasya, wylew żółci, w najlepszym razie zakończony dobrym apetytem po takiem polowaniu.

Nie wiem jak kto, ale ja przepraktykowałem ongi z moją dwururką wszystkie możliwe permutacye, jakie z tych wszystkich niespodzianek urządzić się dadzą, a z opuchniętą twarzą, pokaleczonymi od wyprysków kabzlowych rękami, wziąwszy najpierw z niedowierzaniem odtylcówkę, pozbyłem się wnet całego kramu, przywiązanego koniecznie do dawnej broni.

W końcu wspomnieć mi wypada jeszcze o samej technice strzelania do kaczek.

Nie jest tu rzeczą obojętną, z której strony do ptaka się strzela, odporność bowiem i slizkość gęstego pierza może się stać powodem wielkich zboczeń śrótu, jeżeli tenże dotknął pierze w kierunku ułożenia piór. Zasadą zatem powinno być, aby strzał trafiał pod pierze, co tylko przy strzelaniu do odlatujących ptaków da się osiągnąć.

Im bliżej ku zimie, tem gęstszy puch okrywa kaczkę, tem też i grubszego należy używać śrótu, a rozpoczynając polowanie Nr. 5, posuwać się stopniowo do Nr. 3. Małe odmiany strzela się Nr. 6, a względnie 5. O ile strzały do szybko przeciągających kaczek nie należą do najłatwiejszych, a do ciągnących cyranek już wielkiej wymagają rutyny, o tyle strzyły do kaczek porywających się, jeżeli tylko potrafiło się wyzyskać chwilę, może do najłatwiejszych zaliczyć należy. Jest jednak rzeczą doświadczoną, iż dla nierutynowanych trudno jest z początku celnie strzelać do kaczek porywających się, a trudność ta trwa tak długo, dopóki myśliwy nie zapanuje zupełnie nad emocyą, w jaką go łomot porywającego się ptaka wprawia.

Nie podobna tu podać prawideł, w jaki sposób ocenić możliwość strzału; doświadczenie i wprawa muszą tu swego dokonać. Złotej tej nauki nie zastąpią żadne rozumowania, podawanie zaś nic nie mówiących niby to prawideł, z jakimi się w niektórych specyalnych dziełach niemieckich spotkać można, prowadzi tylko chyba do obałamucenia.

I tak, jeden z takich autorów podręcznika dla myśliwych, każe myśliwemu przed strzałem rozpoznawać kolor c z e r w o n y „wioseł“, inny wysłuchiwać d o k ł a d n y świst lotów. Są to wszystko odnoszące się do zmiennych rzeczy wskazówki, bo dotyczą różnych pod względem subtelności zmysłów, a wreszcie nie wszystkich kaczek „wiosła“ są czerwone, i nie wszystkie skrzydła wydają świst w locie, a w końcu i donośność broni i siła strzału są różne i od rozmaitych zależą warunków. Różnorodność zatem tak ogromna unicestwia wszelkie pod tym względem prawidła, i dziwić się należy, iż ludzie umieją pisać o takiem „nic“ z poważnym nastrojem.

Kto (mając sprzyjający dla kaczek teren) pragnie, aby ptactwo to licznie się tam gnieździło, ten uczyni najlepiej, jeżeli zaniecha wszelkiego z wiosny niepokojenia, pomimo, iż ustawa strzelanie kaczek po 15 kwietniu dozwala. Roztropny a płochy ptak pomiarkuje wnet panujące stosunki, i drażliwy na niegościnne przyjęcie, opuści nieprzyjaźną okolicę. Jeżeli zaś chodzi o dostanie nadzwyczajnych odmian kaczek, to z pewnością najłatwiej to się uda podczas przelotu wiosennego, a to z przyczyny, iż powracające do swej północnej ojczyzny stada kaczek przez kraj nasz, nie wędrują z tak gorączkowym pospiechem, jak to czynić zwykły w jesieni, a częstokroć po dni kilka dla wypoczynku na wodach naszych przebywają.

Doświadczeniem lat wielu dzielę się z Tobą, łaskawy Czytelniku. Jeżeli w skromnej tej pracy znalazłeś choć jeden, nieznany ci dotąd szczegół z życia kaczek dzikich, to nie darmo pióro maczałem w inkauście, a jeżeli rozwlekłością Cię znudziłem — to wybacz — wszak pisałem o kaczce prawdziwej, a nie traktowałem Cię kaczkami dziennikarskimi, którym nieraz całe tomy poświęcają.

KORESPONDENCYE.

Ś n i a t y n k a d. 21 maja.

(Pamięci Jana Aleksandra Fredry.)

„Nie masz pana nad Ułana,
A nad lancę nie masz broni!“

Któryż z nas, będąc młodym, nie śpiewał tej piosenki, kto nie pragnął takim zostać panem? Grzmot dział, obozowe ognie i „białe rabaty“ — to był nasz ideał. I On...

Urodzony, gdy jeszcze cień Napoleona,
Jak żałobna powiewał nad światem zasłona,
Pokrywając swą krepą nieśmiertelne dzieje,
Chwałę wojska polskiego i kraju nadzieje....

— i On, któremu tradycya rodu od lat dziecinnych wszczepiła w duszę bohaterstwo żołnierza i wszystkie wzniosłe uczucia naszego rycerstwa — i On marzył i przemarzył życie, a schodzi do grobu z zapytaniem na ustach:

„...Zdołaż ręka zbrojna,
Jeszcze oręż udźwignąć, gdy znów będzie wojna?“

Trudno o piękniejszy, smutniejszy, a zarazem prawdziwszy testament, jak ten wiersz ś. p. Jana Aleksandra Fredry, trudno o piękniejsze *„mea culpa“*. Tak, jego grzechem było: że się urodził żołnierzem ze starymi tradycyami ojczystymi. Dziś, niestety, w czasach bezdymnego prochu i machin piekielnych, tacy się nie rodzą — to już typ, który się powtórzyć nie może. Nie! nie dźwignie już oręża ta zacna ręka, która go raz na krótko, ale dzielnie dźwignęła. Nie dźwignie go podobno i żadna inna — dziś inne czasy — inna praca, inna walka przed nami. On do tej walki nie

był stworzonym, ale swojemu ideałowi był wiernym, i swojego ideału najpiękniejszym typem.

Jak ojciec, żołnierz i komedyopisarz, rozweselając innych, na dnie wielkiego serca swego, głęboko chować umiał smutek — kochając przeszłość, pragnął lepszej przyszłości a z prądami dnia dzisiejszego w niezgodzie, bał się o losy tej przyszłości, i ból mu serce rozrywał cierpieniami narodu.... I on, żołnierz bez trwogi, drżał na myśl o tych nowych walkach bezkrwawych, które dziś staczać przychodzi dla ratowania od skazy ducha narodowego.

Smutno, bardzo smutno rzucać tę gałązkę wspomnień na świeżą mogiłę przyjaciela, towarzysza niegdyś drużyny myśliwskiej, która w kniejach Dobrohostowa niejeden dzień wesoły przeżyła...

Minęło to wszystko jak sen... złoty sen lat młodych. Dziś głowy nasze oprószyła ponowa, która już nie topnieje, a kółko towarzyszy dawnych coraz ciaśniejsze... Jak w szeregu, „szlusujemy“ za każdem wyrwanem ogniwem.

Czem jest ubytek takiego ogniwa w łańcuchu przyjaźni, wiedzą i czują wszyscy, którzy ocenić i kochać umieli Fredrę; a miał On miłość ludzką, bo miał dar jednania sobie ludzi dobrocią serca, szczerością staropolską, i wielką, niezwykłą delikatnością uczuć.

Ileż to wspomnień, pełnych uroku, przechowuje pamięć z życia naszego myśliwskiego, z marzeń i dysput, pełnych zapału, prowadzonych pod niskim dachem leśniczówki w Dobrohostowie! Fredro, wówczas jeszcze zdrowy, z nadzieją w przyszłość patrzący, wesoły, świetnym dowcipem rozweselający, zawsze szlachetny, szczery, prosty, w przekonaniach stały, wyborny towarzysz, w przyjaźni wierny, jednym z najmilszych, najukochańszych był nam towarzyszy. Namiętny myśliwy, zawsze pierwszy na nogach, budził leniwszych pobudką na trąbce ze snu twardego o brzasku dnia.

Nie czas na wspominanie epizodów wesołych, nie pora po temu i chęci brak na myśl, że to ostatnie o drogim towarzyszu wspomienie; na smutek po Nim jedna pociecha nam zostaje — ta, że On już teraz nie patrzy

...„co raz bardziej trwożliwem w przyszłość okiem“...

On już dziś jasno widzi, że co nieśmiertelne, tego żadna ziemska moc zgładzić nie zdoła, — i pewnie w tem pociechę znajduje...

Dorzućmyż na tę mogiłę, do cierni żywota, gałązkę zieloną wawrzynu od naszej myśliwej drużyny.

Stanisław Tarnowski.

Wysuczka w maju 1891.

(O słonkach, dzikach i wilkach).

W majowym numerze „Łowca“ opowiada jeden z braci w św. Hubercie, że polując na słonki, ubił lochę, mając czas zmienić ładunek. Ja opowiem więcej, bo nie zmieniając ładunku, ubiłem słonczym śrótem ogromną prośną lochę.

A cóż za profan! — pomyśli każdy z braci w św. Hubercie, — który nietylko, że coś podobnego robi, ale nadto się jeszcze chwali. Ja na to odpowiem tak: Gdybym był miał kulę, byłbym kulą strzelił, ale nadto mi ten szlachetny ród szkody bezpośrednio i pośrednio narobił, abym go bezkarnie przy spotkaniu puścił; mówię bezpośrednio, bo cała praca przy kulturze leśnej znikła bez śladu, a kultura cała zryta wygląda jakby zorana — pośrednio zaś, bo taka masa dzików namnożyła się, że te hordy jak wypadną z lasu na kukurudzę owies i kartofle, całą pracę dzierżawcy i włościan niszczą. Chłopi też całymi nocami ognie palą i tym sposobem straszą — ale nietylko dziki — także drzewo z lasu, i straż leśna nie może się upilnować, a aereszta c. k. Starostwa wykażą, ilu to strachopudów dziczych karanych było za las...

Ciąg słonek w tym roku był u nas bardzo słaby, pilnie chodziłem za nimi, śledziłem i z psem i z nagonką, i ledwie mogłem 11 ubić.

W dniu 2. kwietnia polowałem z nagonką w Wołkowcach, a ponieważ brałem mioty, gdzie przypuszczalnym był dzik, miałem drylinga i ubiłem dzika (wycinka) i słonkę. Prześliśmy do miotu, gdzie nie było mowy o dziku; zmieniłem strzelbę na dubeltówkę i stanąłem obok pana Edmunda Dzierzka, myśliwego całą duszą i poprawnego. Wtem widzę, że on strzelbą rzucił i tuż na mnie wali wielka locha. Sąsiad nie strzelał, bo miał słonczy śrót w lufie, a w przypuszczeniu, że ja ją kulą z drylinga powitam i wytnę jej salwę ekspresową — nastraszył ją i ku mnie napędził. Czasu do namysłu nie było, zbliżyła się do mnie na (liczonych) 2 kroki. Jak ją gwizdnę w łeb jednym, a w bok drugim ładunkiem, zaczęła się kręcić w kółko jakby motylicę miała, a potem poszła do trzeciego miotu i tam żywot swój zakończyła.

W dniu 14. kwietnia wyszedłem po raz ostatni na słonki. W jednym miocie wypadają na linię dwie maciory, a za nimi drobiazgu 2—3 tygodniowego ze szesnaścioro; tym razem kulą ekspresową położyłem maciorę, a sąsiad mój drugą. Drobiazg, przestraszony hukiem, nie wie co robić; nadto pies legawy, wzięty do aportowania słonek, skacze pomiędzy prosięta i co jedno w pysk chwyci, to mu się wyrywa, a on chwyta drugie. Zabawy tej było dopóty, dopóki nie rozbiegły się wszystkie prosiaki. Z masy tej dwoje ubiliśmy, aż tu patrzymy, pies ciągnie jedno, które przecież udusił. Kazałem śledzić młodzież, lecz ta wyginęła co do nogi. Już to w tym roku odpłaciłem tym szkodnikom i za te szkody i za to, że je corocznie karmię kukurudzą i ścierwem, a rzadko kiedy spotykam się z nimi na wielkiem polowaniu.

W tym roku padło 35 dzików. Nietylko mój protokół, lecz nadto towarzysze moich łowów potwierdzą zgodność podanej liczby z rzeczywistym stanem rzeczy. Pomimo tak wielkiej liczby, jaka padła, jest ich jeszcze dosyć, bo się ściągają z sąsiednich lasów, których jest naokoło wielki obszar.

W dniu 6. maja dają mi znać, że w rewirze są wilki. Spraszam tedy towarzyszy i jedziemy do Wołkowiec. Dwa wilki wymknęły się flanką, a wilczyca i wilk idą wprost na myśliwych. Wilczyca padła od strzału gajowego, a wilk, postrzelony kulą, uszedł i kazałem go szukać. Wilczycę wywleczono z miotu, spostrzegamy, że z sutek mleko cieknie, oczywiście musi mieć młode i to w tym samym miocie. Gajowi szukają i znachodzą dziewięcioro szczeniąt. Były ślepe, mogły mieć 4—5 dni, kazałem je wydusić, a dwoje podsadziłem pod sukę jamniczkę, która karmi małe. Z początku wyrczała i uciekała od nich, lecz już drugiego dnia nietylko, że pozwoliła im ssać, ale je lizała i teraz nie da do nich przystąpić, te zaś małe rabusie przemocą wydzierają sutki prawym dzieciom i z całą siłą walą łbem o sukę, aby więcej mleka dała.

Czarkowski-Golejewski.

Olejów w maju 1891.

(Poranek na stawie).

Mówił mi mielnik, że na olejowskim stawie co rana widuje cztery kaczki dzikie, i że dziwne harce i bitwy ze

sobą staczają. Zaciekawiony tem opowiadaniem, pojechałem czółnem na staw, gdy jeszcze całkiem ciemno było, na znaną mi halawę pomiędzy trzciną, na której owe kaczki miały przebywać.

Prześliczna to była noc majowa, nieco chłodna, lecz cicha. Już księżyc srebrzystym swym sierpem ku zachodowi się schylał, a na wschodzie ukazywał się ledwie jakiś odblask jaśniejszego obłoczka.

Przyjechawszy na halawę, wśród podrastającej trzciny i sitowia, rzeczywiście zobaczyłem cztery istoty nieruchome na wodzie, lecz jeszcze kształtów ich bliżej rozpoznać nie mogłem. Zdawało mi się, że to kaczki, lecz nie będąc tego pewnym, stanąłem z czółnem na kraju halawy i czekałem, aby się nieco rozwidniło.

Już czerwona jutrzenka zabłysła na wschodzie, już sierp księżyca zniknął na widnokręgu, a żadna istota żywa nie dała się słyszeć; nic, oprócz miłego rechotania żab, a na górze nad stawkiem w leszczynie, najpiękniejszy nasz lirnik, spiewak pierwszorędny z rodu ptasiego, słowik, który nigdy nie sypia, ciął kuranty od ucha do ucha, zachwycając ludzi, co rano wstają i zabawiając samiczkę swą ukochaną, która opodal na ziemi pod nim wysiaduje swe potomstwo. Siedzę i słucham tej muzyki: słowik to tenor, żaby to orkiestra, która mu akompaniuje...

Spoglądnąłem na kaczki, które już teraz lepiej widać było. Wszystkie cztery w równej od siebie odległości siedzą na wodzie z główkami za skrzydła założonymi i spią głęboko, bo żadna się nawet nie ruszy. Lecz nie mogłem i teraz jeszcze poznać, która była kaczką, a które kaczorami, więc czekałem dalej. Wtem słowik urwał swe pienia, żaby umilkły również — i nastała cisza.

Już robi się coraz jaśniej i pierwszy ptak, który się budzi, który Stwórcę chwali i dziękuje za noc szczęśliwie przebytą, jest krętogłów; on to pierwszy odezwał się swym brzydkim, do skomlenia małego pieska podobnym, lecz donośnym głosem, po nim zaraz dudek zaczął swe melancholijne „wud-wud-wud“ i zbudził kukułkę, a jak tylko ta donośnem swem kukaniem dała się słyszeć, wnet odezwał się skowronek, niosąc pieśń swą ku tronowi Najwyższego. Za skowronkiem cały szereg ptasząt się obudził i napełnił swym śpiewem przepiękny poranek. I wszystkie ptaszki, każdy jak umie, chwalił stwórcę, dziękując za dzionek, który nastał, a z tym chórem ptasząt pokazało się z za góry słońce, spuszczając swe złote promienie na srebrne zwierciadło wody. Padły one i na mnie, ocknąłem się więc z zadumy, mówiąc „Kiedy ranne wstają zorze“ i chwaląc Wszechmocnego wraz z napowietrznymi śpiewakami

Lecz co robią moje kaczki? Spojrzałem znów ku nim. Były już przebudzone. Poznałem, że to krzyżówki, trzy kaczory i jedna kaczka. Pływały po halawie, kaczka na przodzie, kaczory za nią. Ona co chwila zanurzała się do pół skrzydeł we wodzie, szukając rybki czy ślimaczka między podwodnymi roślinami i w namule. Kaczory pływały obok. Co chwila jeden z kaczorów, trzęsąc ogonkiem, zginając spiralnie swą prześliczną, ciemno-błękitną w zielony kolor wpadającą szyję, podpływał ku kaczce, cichem kwakaniem coś do niej mówił, po prostu zalecał się; lecz gdy tylko goręcej chciał dać folgę swym pragnieniom, natychmiat oba inne kaczory z tyłu będące, rzucały się z furyą na niego i kąsały go i skubały tak, że ten w końcu nurka dawał, a uwolniwszy się dopiero tym sposobem od napastników, wypływał opodal.

Drugi i trzeci kaczor odbywał te same ewolucye i zalecania, zdobywając się na więcej lub mniej galanteryi w obec kaczki, lecz znowu przez tamtych skąsany, obskubany, tą samą podwodną drogą uchodził.

Kaczka niby obojętną była na te wszystkie zaloty, ciągle nurkowała, spożywając śniadanie od czasu do czasu, gdy się jej z głębi wody coś wydostać udało. Jednak zauważyłem, że gdy jeden z owych kaczorów, zdaje mi się, że upierzeniem najpiękniejszy i gładkością piór najsmuklejszy, najlepiej głowę zaginający, do niej się zbliżał — wtenczas kaczka przestawała nurkować i czułem kwakaniem odpowiadała na jego zaloty — i byłaby go pewnie za małżonka przyjęła, gdyby nie dwa inne kaczory, które go znów odpędziły.

Gdy to już z pół godziny trwało, zniecierpliwiona kaczka zerwała się, a kaczory za nią. I latały w koło halawy. Już chciałem strzelić, aby kaczkę uwolnić od dwóch natrętnych zalotników, a zostawić jej prawowitego, sercem wybranego małżonka, z którymby w spokoju na tym stawie miodowy miesiąc przepędzić i liczne potomstwo wychować mogła — lecz wstrzymałem się wiedząc, że kaczki znowu zapadną i odstrzelenie kaczorów będzie pewniejsze.

Latały długo naokoło stawu, większe coraz większe robiąc koła, nareszcie wzbiły się w górę po nad wzgórze zarośnięte lasem. Wtem kaczka spuściła się nagle, jak kamień lecący na ziemię, pomiędzy zarośla i znikła mi z oczu. Zdaje się był to manewr, ażeby uwolnić się od zalotników. Czy się wprzód porozumiała z wybranym przez siebie kaczorem, tego nie wiem, przypuszczam jednak, że tak, wnioskując z tego co zobaczyłem. Kaczory również zapadły w zaroślach i wszystko zniknęło. Czekałem cierpliwie, co z tego będzie. Po upływie dziesięciu minut kaczka, z jednym kaczorem tylko, prawdopodobnie tym, którego wybrała i któremu najwięcej, jak mi się zdawało, sympatyi okazywała, zerwała się i od razu zapadła na halawie obok mnie. Ciekawy byłem, czy się manewr udał i czy zalotnicy długo ją będą po zaroślach szukali. Dotychczas nie było ich widać, a miłośna para, korzystając ze swobody, zaczęła kaczym sposobem gruchać, kwakać i kochać się...

Lecz nie długo używała tej błogiej samotności.

Niebawem jeden z kaczorów wyleciał ze wzgórza zarośniętego, obleciał staw dokoła, zobaczył parę kochanków na halawie i z szybkością strzały zapadł niedaleko niej. Po chwili i drugi kaczor był już w powietrzu i ze złem kwakaniem chlusnął na wodę. Zaczęły się znowu te same zaloty i bójki co pierwej, i nie wiem jak długo byłyby trwały, gdybym się nie był zmiłował nad kaczką i jej wybranym. Uważając mniej więcej, które to kaczory później przyleciały, strzeliłem jednego na wodzie, drugiego w lot, a para szczęśliwych uleciała na rzekę wśród łąk kwiecistych, aby bez przeszkody oddać się miłości wśród kwiatów i zieleni.

Czym rzeczywiście zgładził nieprawych zalotników, tego nie wiem na pewno, lecz czułem, żem spełnił dobry uczynek, a zabrawszy me kaczory, poszedłem swobodny na dobrze zarobione śniadanie. *Aleksander Wodzicki.*

Kolbuszowa w maju 1891.

(Dwa szczegóły z życia dzikiej kaczki).

Czytając w „Łowcu“ nad wyraz cenną rozprawę pod tytułem: „Nasze kaczki dzikie“, napisaną przez wielce szanownego p. Władysława Spaustę, doznaję — i nie wstydzę się do tego przyznać — takiego wrażenia, jakiego najpraw-

dopodobniej doznawać musi wilk, któremu po długich chwilach niedostatku i przykrych godzinach głodu, dostała się raz świeża, jędrna i nadzwyczaj smaczna strawa.

Rozprawa p. Spausty nie jest w istocie powszednią potrawą dla duszy myśliwskiej, to istny specyał gastronomii łowieckiej, więc nie dziw, iż połykam ją z apetytem wilka, a to z dwóch powodów: raz dla jej niezaprzeczonej naukowej treści, a drugi raz, dla jej — jeśli tak wyrazić się można — skromnej, ale za to na tle długoletniego doświadczenia osnutej i nadzwyczaj gęsto utkanej szaty. Szanowny autor nie posiłkuje się wcale kwiatami stylu, maskującymi tak często treść pustą, lecz wali formalnie w przekonanie czytelnika dowodami i obala do szczętu wszelką chęć powątpiewania. Praca jego jest tak wyczerpująca, tkanina szczegółów, tyczących się życia kaczki, tak gęsta i tak misternie osnuta, iż nikt tam żadnego szczegółu w formie najcieńszej nici ani w środek tkaniny wpleść, ani też z wierzchu żadnej ozdóbki przypiąć nie zdoła. Możnaby, co najwięcej, gdzieś w rąbku tej szaty przyczepić jakiś zbyteczny gałganek i właśnie jako taki przyjmijcie tę korespondencyę moją.

Zanim przystąpię do podania własnych spostrzeżeń, muszę naprzód powołać się na niektóre ustępy z pracy p. Spausty. I tak: w numerze 4-tym „Łowca" opisuje szanowny autor, że kaczka z gniazda, znajdującego się na drzewie, znosi kaczęta na ziemię — o czem wcale nie wątpię — ale nie wspomina tam, w jaki sposób je na ziemi układa, ażeby, jako nowonarodzone i jeszcze głupiutkie, nie porozbiegały się.

Jeżeli szanowny autor uznał ten szczegół za mniej ważny i dla tego o nim nic nie wspomniał, to dobrze. Ale skoro okoliczność, w jaki sposób kaczka urządza to, iż zniesione z gniazda na ziemię kaczęta pozostają w jednem miejscu i czekają wszystkie razem dopóty, dopóki matka ostatniego kaczęcia nie przyniesie, — zbył milczeniem z przyczyny, iż o tem nie wiedział, — to niechaj nie gniewa się na mnie, że czynię to przypuszczenie, bo i ja także nie wiem — gdyż to co widziałem, nie upoważnia mnie do stanowczego twierdzenia, iż zawsze się tak dzieje.

Oto opowiem jak było: Lat temu 42, a już najmniej 40, mieszkali rodzice moi na folwarku w Dorofijówce. Ojciec zajmował się rolnictwem, a ja, jako mały 7 lub 8 letni łobuz, oddawałem się z wielkiem zamiłowaniem nie koniecznie produktywnemu zawodowi „zbijania bąków". Podczas jednej z takich wycieczek na „bąki", zaszedłem aż nad staw, a właściwie w miejsce, gdzie staw dopiero się zaczynał, ponieważ było tam coś w rodzaju łąki, na której rosły miejscami krzaki wikliny, a po nad te, wysterczały z rzadka stare wierzby, w głębi zaś jakieś inne, większe drzewa. Idąc ku stawowi, trzeba było przebyć wikliny i po za nimi zobaczyłeś tataraki i osoki, które od zwierciadła czystej wody oddzielała znacznie dalej ukazująca się wysoka ściana oczeretów.

Na jednej z wierzb miała kaczka gniazda — o czem przed tem nie wiedziałem. Gniazdo to, o ile wtedy osądzić mogłem, było starem, opuszczonem gniazdem sroki czy wrony— gdyż miało podkład z chrustu i uścielone było na wysokości półtora do dwóch sążni od ziemi.

Przechodząc koło wspomnianych wiklin, usłyszałem w krzakach wielki pisk kacząt, a domyślając się, że to są zapewne dzikie, posunąłem się ostrożnie w kierunku, skąd mnie piszczenie dolatywało. Cieszyłem się już naprzód i nie wątpiłem bynajmniej, że mi się uda upolować pierwszą w życiu mojem zwierzynę tego rodzaju, którą, nawiasem mówiąc, znałem już dobrze z widzenia. Ale jakżeż srodze zawiodła mię ta pewność! Nikt nie chciałby nawet wierzyć, że przeszkodą do upolowania choćby jednego kaczątka, była właśnie stara, dzika kaczka. Gdy bowiem podchodziłem na palcach od krzaka do krzaka, usłyszałem po za sobą w powietrzu jakiś niezwykły szum, który mnie tak przestraszył, iż przykucnąwszy pod krzakiem, ukryłem się zupełnie i strzeliłem równocześnie tylko wzrokiem w górę, ażeby zbadać, co było tego szumu powodem. Przy tej sposobności zobaczyłem niedaleko odemnie przelatującą dziką kaczkę, niosącą młode kaczątko. Żałuję tylko, że w przestrachu nie zauważyłem, albo też dziś już nie pamiętam, czyli procedura znoszenia pisklęcia odbywała się przy pomocy szyi, w sposób przez szanownego p. Sp. określony, czy też stara kaczka trzymała je w dzióbie.

Upewniwszy się, że znikąd więcej nic grozi mi żadne niebezpieczeństwo, zacząłem dalej podsuwać się, i wychyliwszy głowę z poza krzaka, spostrzegłem na ziemi w oddaleniu 30 kroków, w trawie, kilkoro kacząt, z których troje leżało na ziemi, przewróconych do góry brzuchem i przebierając nóżkami żałośnie piszczało. Stara kaczka, przystępując do każdego osobno, potrącała je dzióbem i w ten sposób umożliwiała im powstawanie na nogi, a skończywszy tę robotę kwaknęła z cicha parę razy, kiwnęła głową na sposób potakiwania i ruszyła spiesznie w tataraki, gdzie za chwilę zniknęła wraz z kaczętami.

Czyli te kaczęta, same się przewróciły, lub też przez zlatującą kaczkę, bądź uderzeniem lotów bądź też z impetem na ziemię spadającego tułowiu kaczki, niechcąco potrącone i przewrócone zostały — nie jestem w stanie orzeknąć; mogę tylko wnioskować, że kaczka, znosząc kaczęta z gniazda na ziemię, układała je z umysłu na grzbiecie, skutkiem czego one, nie mogąc uciekać, tak przeraźliwie piszczały.

Z kolei przechodzę do drugiego szczegółu.

W majowym numerze „Łowca" opowiada szanowny autor, że zbarczona kaczka wciska się w gęstwiny traw, nurza się w wodzie i dopiero po dłuższej chwili wystawia dziób z wody dla zaczerpnięcia powietrza. Wszystko to jest prawda, niedopuszczająca nawet cienia wątpliwości. Lecz ośmielę się do tych fortelów dodać jeszcze ten jeden, iż zbarczona kaczka, gdy padnie w pobliżu, lub też w środek oczeretu, skoro widzi się prześladowaną, daje zaraz nurka, a będąc już pod wodą, chwyta się dzióbem korzeni oczeretu, lub innego zielska i tak często ginie, jeżeli mętna woda nie dozwoli ją dojrzeć i na wierzch wydobyć. A wspominam o tym fortelu jedynie dla tego, iż w roku 1866 w Roznoszyńcach, na stawie, ciągnącym się w kierunku Hłuboczka, wydobyłem osobiście z wody kaczkę z kawałkiem korzenia oczeretu w dzióbie.

Drugi analogiczny wypadek miał miejsce na stawie w Podwołoczyskach w roku 1868, z tą tylko różnicą, że kaczkę, przezemnie strzeloną, wygarnął wiosłem na wierzch wody ten, co czółnem kierował. Był nim niejaki Ferus, sławny pijak, a z amatorstwa bardzo dobry wioślarz, który posiadał w dodatku znakomity talent aportowania kaczek z wody, tak, iż nie lada pies mógł mu w tem dorównać.

Seweryn Kisielewski.

Peszt d. 23 maja.

(Międzynarodowy kongres ornitologiczny).

W Zielone świątki odbył się tu międzynarodowy kongres ornitologiczny. Wzięło w nim udział około 150 uczestników, fachowych ornitologów lub miłośników ornitologii,

najwięcej z Węgier i Niemiec, lecz także z Francyi, Anglii, Szwajcaryi, Ameryki, Norwegii, Bułgaryi, Bośni i Hercegowiny, nawet z rzeczypospolitej Liberyi w Afryce. Z Polaków nikogo nie widziałem. Z Austryi byli: reprezentant ministerstwa rolnictwa i krajowej Rady kultury z Czech.

Posiedzenia odbywały się w pięknej sali narodowego Muzeum, gdzie węgierska Izba Magnatów obraduje. W wielkim przedsionku i w klatce schodowej urządzono pod kierunkiem głośnego ornitologa, Ottona Hermana, wielce ciekawą wystawę ptaków węgierskich.

Wystawę tę uporządkowano w dwóch oddziałach, najprzód tak, jak ptactwo biologicznie obok siebie się szereguje, a potem wedle systematyki zoologicznej.

W pierwszym oddziale, począwszy od wielkich drapieżców dziennych na swych olbrzymich gniazdach aż do strzyżyka, widzimy ptaki wypchane w pozycyach, cechujących najcharakterystyczniejsze chwile z ich życia. Szczególniej ciekawymi są dwie wielkie gabloty oszklone: jedna przedstawia moczar węgierski z czajkami, kszykami, czaplami i t. d., do których się i zabłąkane ibisy przyłączyły — druga zaś daje nam obraz zarośniętego trzciną stawu, gdzie widzimy kaczki wszelkiego rodzaju, gęsi dzikie, perkozy, nawet kaczkę lodówkę, która się ubiegłej zimy aż do Węgier z arktycznej swej ojczyzny przybłąkała.

W oddziale systematycznym są ptaki muzealnym sposobem w szafach skupione, a między nimi niektóre ciekawe wyrodki, jak biała jaskółka, czarny słowik, różowy wróbel, a nawet przysłowiowy biały kruk. Po raz pierwszy zestawiono tu również dość kompletną ornis Bośni i Hercegowiny. Łączy się z tem wszystkiem także wystawa jaj.

Pierwszego dnia obrad (17) powitał zgromadzonych węg. minister rolnictwa hr. Andrzej Bethlen po francusku i wice-burmistrz Karol Gerloczy po węgiersku, poczem przystąpiono do wyboru prezydyum i wybrano, jak zazwyczaj, trzech ministrów: Csaky'ego Bethlena i Kallaya honorowymi prezydentami, dr. Wiktora Fatio z Genewy i Ottona Hermana przewodniczącymi, oraz kilku wice-prezydentów, a między tymi ornitologów prof. Blasiusa, Colleta, dr. Qustaleta z Paryża, A Homeyera, Wiktora Tschusi i t. d.

Mianowano pięćdziesięciu honorowych członków z pomiędzy takich ornitologów, którzy nie mogli przybyć, a na czele ich ks. Ferdynanda Koburskiego z Bułgaryi, znanego miłośnika i znawcę ptaków.

Przedmiotami, które traktowano na posiedzeniach sekcyjnych i pełnych, były następujące:

Głośny jako badacz i pisarz ornitologiczny major A. Homeyer z Greifswaldy mówił o życiu ptaków w środkowej Afryce zachodniej. W ciągu dwóch około dziesięciotygodniowych peryodów deszczowych, które na północ i na południe od równika na wiosnę i w jesieni nadchodzą, są tam dwie pory gnieżdżenia się ptaków. Właściwego ptactwa wędrownego nie ma wcale, tylko są ptaki, w pewnych dość ciasnych granicach, przelotne. Główny kontyngens ptactwa tamtejszego, stanowią ziarnojady. Są między nimi i wyborni śpiewacy; ptak „anchieta" przypomina bardzo słowika. Z końcem peryodu deszczowego, względnie lęgowego, przypada czas pierzenia się.

Otto Herman wypowiedział w zajmującym bardzo wykładzie spostrzeżenia swe o przelocie ptaków w Węgrzech, który od r. 1890 bardzo troskliwie w rozmaitych a licznych stacyach obserwacyjnych jest badany. W ten sposób ustalono dotąd szczegółowe termina pojawiania się i znikania przeszło 230 gatunków ptaków.

Prof. Robert Collet z Chrystianii miał w sali posiedzeń Akademii umiejętności wykład dla szerszej publiczności „o życiu ptaków w Norwegii", tej północnej Szwajcaryi, i opisywał malowniczo sławne góry ptasie, sposoby gnieżdżenia się i lęgu ptaków i t. d. Charakterystycznem jest, że bardzo niejednostajnie zabezpiecza tam natura pisklęta od zimna; podczas gdy pisklę alki wykłuwa się prawie całkiem nagie, *Fratercula arctica* wydobywa się z jaja w gotowej już zbitej szacie puchowej.

Prof. Palacky z Czech mówił o przyczynach wędrówki ptaków, upatrując główną przyczynę w geologicznej przeszłości naszego planety. Zdaniem jego wędrówki są dwojakiego rodzaju: 1. przygodne, krótsze, spowodowane głównie brakiem żywności, jak np. w Australii lub środkowej Azyi w skutek posuchy, i 2. wielkie, stałe wędrówki przez strefy umiarkowane, na północnej półkuli powszechne, na południowej zaś tylko przez Argentynę do Patagonii i Brazylię. Palacky odnosi je do epoki lodowej. Przebywające na północy ptaki musiały w skutek zimna ustępować ku południowi, a po zmianie temperatury powracały. Główne szlaki wędrówki są: 1) z północno-wschodniej i północno-zachodniej Ameryki ku Meksyku, Antyllom, środkowej Ameryce i ku północnej części południowej Ameryki i na odwrót; 2) wschodnio-azyatycki szlak od Sybiru, północnych Chin i Japonii ku Indyom zagangesowym, archipelagowi Sundajskiemu i Australii, (który się w lecie rozszerza wachlarzowo aż do zachodniego Sybiru); 3) zachodni szlak arktyczny, złożony z czterech gościńców: francusko-hiszpańskiego przez Maroko do Afryki — środkowo-europejskiego (Szwecya-Włochy-Berberya) — wschodnio-europejskiego (Rosya, Turcya, Mała-Azya, Syrya, Egipt, Persya) — zachodnio-azyatyckiego od Indyi przez Turan i Turkestan ku Sybirowi. Właściwe ptaki podzwrotnikowe nie wędrują wcale, ale ptaki północne dolatują czasem aż do Madagaskaru, przylądka Dobrej Nadziei i t. d. Szczegóły tych szlaków są jeszcze mało znane i dość zagadkowe. Ponieważ Himalaya, Alpy i inne łańcuchy gór młodsze są od wędrówek, stanowią więc tylko fizykalną, ale nie geologiczną przeszkodę, która bywa przezwyciężaną.

Pożegnalne posiedzenie kongresu, na którem zdawano sprawę z prac sekcyjnych, odbyło się 21 b. m. w mineralogicznem audytoryum Uniwersytetu. Przewodniczącym stałego komitetu ornitologicznego wybrany został prof. Qustalet z Paryża. Ks. Bułgarski podziękował telegraficznie za mianowanie go członkiem honorowym.

Kongres skończył się pożegnalnem przemówieniem hr. Albina Csaky, ministra oświecenia. *Z.*

KRONIKA.

Istna plaga wilcza trapi Bukowinę. Już po strasznej katastrofie sadogórskiej ukazała się cała gromada wilków na pastwisku w Tereszenach i opadła pasące się konie i świnie. W jednej chwili kilka sztuk koni i świń zagryzły bestye na miejscu, wiele zaś pokaleczyły śmiertelnie. Wiadomość o napadzie wilków rozniosła się po wsi i prawie całe sioło z drągami i rozmaitą bronią wyruszyło na pastwisko. Wilki, spostrzegłszy odsiecz, umknęły do lasów franzthalskich.

I z Kaczyki donoszą o pojawieniu się wilków w tamtejszym rewirze leśnym Zamka.

Na obławach, urządzonych w powiecie czerniowieckim zabito tylko 5 wilków. W lasach Franzthalu podczas ostatniej obławy widziano 5 wilków. Z tych ubito jednego, a dwa postrzelono. Obławy w tym rewirze odbywają się nieustannie.

Trzy z pomiędzy ofiar katastrofy sadogórkiej, wysłanych do zakładu pasteurowskiego dr. Babesza w Bukareszcie, zakończyły życie na wodowstręt. Nie ma już więc wątpliwości, niestety, że wilk, który tyle osob pokaleczył w Sadogórze, był wściekły. Reszta pacyentów z tej katastrofy, w liczbie 25, ma być wyleczonych.

Międzynarodową wystawę ptaków otwarto ubiegłej soboty we Wiedniu. Posiada ona jakie 1.500 okazów ptactwa; oprócz domowych, są tam najrozmaitsze ptaki śpiewające itp. Uwagę na siebie zwracają gołębie, reprezentujące przeszło 50 ras. Niemniej bogatą jest wystawa drobiu i królików. Na wystawie znajduje się kolorowy gołąb angielski, kupiony za 130 zł.

Spotkanie z niedźwiedziami. Gubernia mińska, zwłaszcza powiaty borysowski i mozyrski, obfitują dotąd w grubego zwierza. Niedźwiedź, łoś, dzik, są tu pospolitymi mieszkańcami boru, a lud jest z nimi dość oswojony, bo często je napotyka. O jednem takiem, niedawnem spotkaniu, donoszą co następuje:

We wsi Borewicze powiatu borysowskiego nad wieczorem, już o dobrym zmroku, włościanin tej wsi Antoni Borsuk wracał do domu, przechodząc przez małą polankę, gdzie się zieleniła ruń. Szedł on zamyślony, bodaj nawet podchmielony, gdy oto naraz staje przed nim wielkich rozmiarów niedźwiedzica wraz z dwojgiem małych. Żarzące się, gdyby dwie gwiazdy, oczy wlepiła ona w Borsuka, który na ten widok struchlał. A można było struchleć, bo straszny zwierz, podniósłszy się na tylne łapy, zmierzał wprost na włościanina. Chłop, czy z przestrachu, czy przypomniawszy sobie z opowiadań o niedźwiedziach że nie ruszają nic martwego, padł na ziemię i udał nieżywego. Niedźwiedzica, podszedłszy do niego, łapami przewróciła go, obwąchała, a gdy ten nie dawał znaków życia, ujęła go za nogi i odrzuciła od siebie na kilkanaście kroków. Łatwo pojąć, co się dziać musiało w tej chwili w duszy nieszczęśliwego. Niedźwiedzica szła dalszą drogą krokiem wolnym, natomiast niedźwiadki poczęły zabawiać się Borsukiem. Brały one go w swe uściski, na wszystkie strony ciągnęły, a chłop wciąż udawał nieżywego. Skończyło się na tem, że niedźwiadki pogryzły chłopu nos i uszy, a gdy ujrzały, iż matka jest daleko, pospieszyły za nią, pozostawiając swą ofiarę w spokoju.

Za dużo niedźwiedzi pojawiło się w miejscowości Wrabcici, niedaleko Mostaru w Hercegowinie. Pojawiały się one na pastwiskach i robiły szkody w bydle. Naczelnik okręgu zarządził więc d. 29. kwietnia obławę, w której wzięło udział siedmnastu myśliwych i 150 nagonki. Wkrótce wypędzono na linię strzelców dwie niedźwiedzice z dwoma niedźwiadkami. Jedna z niedźwiedzic padła zaraz na miejscu, druga zaś, mocno postrzelona, wróciła na nagonkę, a wypadłszy na pastwisko, ubiła pasącą się tam kozę i chciała się zabrać do chłopa, robiącego w polu, lecz na szczęście tak już była osłabiona, że go tylko podrapała, a tymczasem przybiegli myśliwi i dobili rozwścieklone zwierzę. Oba niedźwiadki zostały także ubite.

Scena w cyrku. W czasie wieczornego widowiska, w cyrku Salamońskiego w Moskwie, zdarzył się niedawno temu następujący wypadek: Wedle programu nastąpiły produkcye poskromicielki dzikich zwierząt, Zenejdy. Kiedy poskromicielka weszła do klatki, w której znajdował się lew, tygrys, pantera i niedźwiedź, spostrzeżono niebawem, że lew zachowuje się niespokojnie i przypada w rogu klatki. Stojący obok klatki posługacz miał już uderzyć lwa żelaznym prętem, gdy nagle zwierzę zrobiło potężny skok i wpadło na piersi poskromicielki. Wśród publiczności powstał niewypowiedziany popłoch, na szczęście jednak jeden z artystów cyrkowych, Karol Bekmann, nie stracił przytomności i wskoczywszy do klatki, potężnem uderzeniem pręta zdołał odpędzić lwa od ofiary. Korzystając z chwilowego ogłuszenia zwierza, zdołano p. Zenejdę usunąć z klatki. Poskromicielka miała poszarpane ramię i kilka ran na ciele od pazurów. Lekarz, obecny w cyrku, pospieszył z pomocą p. Zenejdzie, którą następnie dla uspokojenia publiczności kilkakrotnie wprowadzano na arenę.

Znawca piękności. Jeden z konsulów w Algierze miał do niedawna brunatnego lwa numidyjskiego niezwykłej piękności. Miał on na grzbiecie czarne pręgi i plamy, które go nieco do tygrysa czyniły podobnym, łapy całkiem czarne, a grzywę bujną i tak miękką, że można było włos jej prząść jak wełnę. Zwierz ten był nadzwyczaj łaskawy. Przywieziony jako trzymiesięczne kocię do domu konsula, łagodnie traktowany przez wszystkich, tak się obłaskawił, iż biegał wolno, dla każdego był uprzejmy, a chyba tylko względem obcych okazywał się nieufnym i przystępnym, chociaż nigdy nie zaczepił. Może być, że na łagodność tę wpłynął sposób żywienia lwa, dawano mu bowiem mleko, chleb i wyłącznie gotowane mięso. Dzieci mogły się z nim bawić, a chętnie igrał z kotami i psami jakby ich rówieśnik.

Najszczególniejszem jednak u tego obłaskawionego króla pustyni, był pociąg jego do pięknych kobiet, a znał się na tem tak dobrze, iż względy jego przyjmowano już jako dyplom niezawodny na piękność. Dwie młode Angielki pozwoliły sobie raz użyć naszego lwa jako wierzchowca. Otóż piękniejszej z nich dozwolił się król pustyni dosiadać i obnosił ją na swym grzbiecie z prawdziwem zadowoleniem i dumą, ale drugiej, która się cielesną pięknością nie odznaczała, stanowczo łaski tej odmawiał, i nie dał się do tego niczem nakłonić.

Niegrzeczny słoń. W menażeryi, bawiącej w Belgradzie, wydarzył się przed kilunastu dniami następujący wypadek. Sekretarz legacyi angielskiej, mr. Maclour, karmił bułkami słonia, które ten z uprzejmością z rąk jego przyjmował. Lecz w końcu zabrakło bułek p. sekretarzowi, a podrażniony tem słoń chwycił go trąbą za szyję, podniósł i podrzucił. Rozgniewane zwierzę byłoby go pewnie i roztratowało, lecz przybiegli dozorcy menażeryi i ciężkimi drągami żelaznymi poskromili gniew zuchwalca. Publiczność opuściła z przerażeniem menażeryę, unosząc przestrogę, aby się nawet z łaskawymi słońmi zbytecznie nie familiaryzować.

Zmyślność psów była już niejednokrotnie przedmiotem opisów i podziwu. Niedawno temu, uczony angielski, John Lubbock, podał w wydanej przez siebie książce niektóre zadziwiające szczegóły o zmyślności psa, którego sam tresował. Otóż pies ów nietylko rozumie znaczenie wielu mówionych do niego wyrazów, lecz, co więcej, czyta wyrazy drukowane i zapomocą druku wyraża swe pragnienia.

Lubbock przeprowadził swą tresurę w sposób następujący. Na sam początek użył trzech, dużymi głoskami drukowanych wyrazów, a mianowicie „wyjść“, „jeść“, „pić“. Trzy tabliczki z tymi wyrazami umieścił w swoim pokoju na ziemi pod ścianą i uczył psa ich znaczenia w sposób poglądowy, powtarzając brzmienie wyrazu i pokazując tabliczkę, ile razy pies skomleć począł lub drapać drzwi. Kiedy pies oswoił się z tem, począł Lubbock pouczać go, aby zamiast szczekać lub drapać, przynosił tabliczkę z odpowiednim wyrazem i wnet zaspakajał jego życzenia. To nawet psu się podobało. Dawszy sobie radę z trzema wyrazami, Lubbock dodał czwarty, później piąty, szósty, dziesiąty, zmniejszając zarazem wymiary druku, i dziś pies jego ma w swoim repertuarze przeszło trzydzieści wyrazów, które czyta, rozumie i na zawołanie lub z własnej pobudki przynosi. Nad wszystkie tabliczki przekłada pies tabliczkę z wyrazem „spacer“; co chwila biega i niesie ją w zębach. Czasem omyli się i jeden wyraz przyniesie zamiast drugiego, Lubbock tłómaczy mu, pokazuje, żeby się dobrze przyjrzał co przyniósł. Pies stoi wówczas skonfundowany, poczem nagle bierze w zęby przyniesioną niewłaściwie tabliczkę, odnosi ją na miejsce i przynosi tę, której potrzeba.

Naoczny świadek opowiada, że dziś, kiedy Lubbock wychodzi na przechadzkę lub w odwiedziny, woła na psa, aby podał po kolei kape-

lusz, laskę, rękawiczki i t. p. potem wymienia nazwisko osoby lub miejscowości, do której się udaje, i pies najdokładniej rozumiejąc biegnie ile sił do danego domu, zwiastując szczekaniem, że jego pan przybędzie za chwilę.

To wszystko jest tylko dalszem rozwinięciem dobrze znanego faktu, że zmyślny pies, nie przyuczany wcale do tego, rozumie częstokroć niejedno z tego, co się do niego mówi.

Znane są dalej psy, załatwiające takie naprzykład komisy, jak kupienie chleba u piekarza i przyniesienie go w koszu; albo przy powiedzianem sobie nazwisku osoby znajomej biegnące do tej osoby z listem i przynoszące odpowiedzi. To są fakta powszechnie wiadome. W Paryżu jest przy ulicy Lafayette sklep winny, w którym duży pies pełni literalnie funkcye służącego i gdy nań pan zawoła, zbiega do piwnicy i przynosi w koszyczku bądź wino czerwone, bądź białe, syfon wody, butelkę piwa, według rozkazu. Ten pies nie różni się zaprawdę wiele od psa Johna Lubbocka.

Znanem jest również podanie, jakie przechowało się o psie Walter Scotta. Pies ten ujawniał wszelkie oznaki głębokiego wstydu, ilekroć opowiadano przy nim historyę, w której on odegrał brzydką rolę i został sromotnie skarcony. Bywały wypadki, że gdy kto zabierał się do opowiadania tej historyi, pies podbiegał ku niemu i kładąc głowę na jego kolanach i skomląc łasił się, jak gdyby prosił, żeby już tego nie opowiadać.

A oto jeszcze jeden dowód nadzwyczajnej czułości i zmyślności psa, podany w naukowej kronice paryskiego *Temps*.

„Parę lat temu — są słowa sprawozdawcy dziennika — odbyliśmy kilkumiesięczną podróż do Ameryki. Pies nasz, Bop, został u krewnych na opiece. Pisywaliśmy do krewnych i nawzajem, i donoszono nam zawsze, że Bop ogromnie posmutniał, co było do przewidzenia. Ale żona moja wpadła na pomysł, aby i do Bopa osobne listy posyłać. Co to były za listy? Stanowiły je kwadraciki batystu, które to ja to moja żona nosiliśmy przy sobie w kieszeni po dni kilka. Kiedy pierwszy taki kwadracik posyłaliśmy, było wyłuszczone co on znaczy, i krewni nasi, odczytawszy list, zawołali Bopa i położyli przed nim ów skrawek batystu. Pies długo stał przed tym skrawkiem, węsząc obchodził go dokoła, nie tknął go, i położywszy głowę na kolanach obecnych, począł tęsknić, skomleć, aż nareszcie z oczu jego poczęły płynąć łzy serdecznego rozrzewnienia i tęsknoty.

„Skrawek batystu uprzątnięto i schowano. Nazajutrz, ledwie wszyscy wstali, Bop począł łapą zaczepiać każdego na znak, że czegoś żąda. Zrozumiano to i położono przed nim skrawek batystu. Wczorajsza scena powtórzyła się co do joty.

„Kilka tygodni wystarczyło na to (pisywaliśmy co tydzień), żeby pies rozumiał, że niebawem przyjdzie nowy skrawek batystu i wyglądał go niecierpliwie. Poczta nadchodziła codzień, a kiedy zawołano: — Bop: list do ciebie z Ameryki! — nie było już końca uciesze. Skakał do koperty, szczekał, dokazywał, ledwie kopertę dał otworzyć, dostawszy nareszcie swój nowy skrawek batystu roskoszował się nim i serdecznie płakał".

Jest to, jak rzekliśmy, dosłowna relacya naukowego sprawozdawcy „Tempsa". Sprawozdawca dodaje uwagę, że łzy u psa nie są rzeczą zwykłą ale też i nie wyjątkową. Pies nieraz płacze i to nie tak jak jeleń, sarna lub koń pod wpływem wielkiego bolu i cierpienia fizycznego, ale z pobudek szlachetniejszych, z potrzeby serca, rzec można.

Śledzie na Bałtyku. Według pism niemieckich, napływ śledzi jest tego roku niesłychany. Wielką siecią zaciągali rybacy na jeden raz po 800 wallów, a więc przeszło po 6000 śledzi, ale też za tę ilość tylko siedm marek na targu w Greifswalde dostawali, która to cena nawet zużycia sieci nie pokrywa. Bywało, że jeden wall śledzi po półtora fenika płacono, a później przeciętna cena walla wynosiła 5 do 10 feników, lecz i po tej nawet cenie sprzedać je trudno. Mnóstwo też śledzi wywożą na rolę jako nawóz. Rybacy, nie chcąc tracić zamiast zarabiać, przestają łowić śledzie.

Węże domowe. Tygodnik francuzki *Nature* opowiada, że w Brazylii w ciągu lat ostatnich szczury w takiej rozmnożyły się obfitości, że stały się prawdziwą klęską. Jest atoli gatunek wężów, *giboia* zwanych, które z wielkiem upodobaniem na szczury polują. Gatunek ten oswojono obecnie i niema domostwa w okolicach przez szczury opanowanych, gdzieby dwóch lub więcej *giboiów* nie trzymano. Bardzo łagodny, najmniejszego niebezpieczeństwa nie przedstawiający *giboia*, drzemie dzień cały pod progiem lub przy schodach, ospale nieruchomy, jak wszystkie węże wogóle. Ocyka się dopiero o zmierzchu, i gdy noc nadejdzie, czołgać się poczynając, wybiera się na łowy. Wciska się wszędzie, dostaje się szczelinami pod podłogę, do nor wyżłobionych w ścianach, pełza leniwie, ale gdy szczura zoczy, jak sprężyna rzuca się nań, chwyta za grzbiet i kolumnę mleczową mu druzgoce.

Węże jadają rzadko, jak wiadomo, i niewiele. To też *giboia* nie łyka szczurów, tylko porzuca je martwe z przetrąconą kolumną, poluje z zamiłowaniem myśliwca, sport sobie robi. Do danej siedziby przyzwyczaja się tak szybko i jest jej tak wierny, że przeniesiony o parę mil *giboia* potrafi uciec i do niej się przyczołga.

Oswojone giboie sprzedają na rynkach miejskich w Brazylii po 5 do 6 fr. za sztukę.

Drób łowiący myszy. W jednym z zeszytów paryskiej *Revue des sciences naturelles*, prof. Costé de Parnell dzieli się ciekawem spostrzeniem nad zdolnościami kur i kaczek do chwytania myszy. Sprawozdawca spędza kilka tygodni każdego roku nad brzegiem morza i ma zwyczaj zabierać ze sobą zapas żywego drobiu. Zauważył jednak, że wśród skalistego otoczenia i na piaszczystem wybrzeżu drób jego chudnie i marnieje, pomimo podsypywania mu obficie ziarna. Zauważył dalej, że po upływie tygodnia drób ten chciwie rzuca się na resztki sałaty i odpadki mięsne, wyrzucane z kuchni. To naprowadziło go na domysł, że jego kury i kaczki nie znajdują nad brzegiem morza ani tej roślinności, do jakiej przywykły, ani owadów i robaczków, którymi zwykle się żywią. Odtąd kazał im sypać wiązki trawy, zielska i kawałki mięsa. Humor wrócił i apetyt również. Ale razu pewnego zauważył, że kury i kaczki rzuciły się chciwie na dwie myszy, wyrzucone przez służącego z pułapki, poszarpały je i pożarły. To znowu go zastanowiło i nazajutrz puścił między drób kilka żywych myszy. Wszystkie zostały schwytane i zjedzone. Niebawem, zasmakowawszy w tej zwierzynie, kury same wyszukiwać poczęły mysie nory, i nierzadko wypłoszywszy, raczyły się ich mięsem. Doszły nawet do wielkiej wprawy w polowaniu na myszy, do większej niż kaczki, których zbytnia ociężałość utrudnia ten sport. Raz przywykłszy do tego, kury praktykują już ów sport bez przerwy, nawet gdy je zawieziono z powrotem do domu, gdzie jednak, mając normalne pożywienie, nie jedzą już myszy, tylko chwytają je dla zabawy i uśmiercają.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.